

HONORIUSZ BALZAK

LEKARZ
WIEJSKI

Honoriusz Balzak

Lekarz wiejski

«Public Domain»

Balzak H.

Lekarz wiejski / H. Balzak — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Rozdział I. Kraj i człowiek	5
Конец ознакомительного фрагмента.	31

Honoré de Balzac

Lekarz wiejski

Rozdział I. Kraj i człowiek

W piękny wiosenny poranek, roku 1829, człowiek blisko pięćdziesięcioletni jechał konno, górzystą drogą wiodącą do sporego miasteczka niedaleko od Grande-Chartreuse położonego. Miasteczko to jest stolicą ludnego kantonu opasanego długą doliną. Strumień o kamienistém łózysku, najczęściej wyschniętém, a w chwili, o której mowa, napełnioném stopniami śniegami, przerywa tę dolinę, obramowaną dwoma równoległymi pasmami gór, które ze wszech stron wznoszą się po-nad szczyty Sabaudyi i Delfinatu. Pomimo, że prawie wszystkie widoki tamtejsze mają cechę swojskości, kanton, przez który przejeżdżał nieznajomy, obfituje w takie niespodzianki, wywołane już-to spadkami i zagięciami gruntu, już-to fantastyczną grą światła, jakich-by się napróżno gdzie-indziej szukało. W jednym naprzykład miejscu dolina rozszerzając się nagle, ukazuje oczom nierówny kobierzec téj zieloności, która dzięki częstemu odwilżaniu, jakiego jéj dostarczają góry, zachowuje przez wszystkie pory roku uroczą świeżość wiosenną. Tam znów młyn jakiś chlubi się swą skromniuchną lecz malowniczną budową, zapasem jodeł ogołoconych z kory i wodą, która zawrócona w biegu i uwięziona w drewnianych rurach wymyka się z nich i spada kaskadą cienkich strumieni. Tu i owdzie chaty okolone ogródkami przywodzą na myśl widzowi obrazy nędzy i pracy. Dalej, domy o czerwonych nakształt rybiéj łuski ułożonych dachach, wykazują zamożność długoletnimi trudami zdobytą. Wreszcie nad każdymi drzwiami wisi koszyk, w którym suszą się sery. Na wszystkich płotach i parkanach pnie się winograd, spleciony tak jak we Włoszech z gałęziami wiązu, którego liście służą za karm dla bydła. Gdzie-niegdzie kapryśna natura gromadzi tak wzgórze przy wzgórzu, że już tam nie znaleźć ani fabryk, ani pól, ani chat żadnych. Tylko wartki strumień przepływa, szemrząc wśród tych ścian granitowych, uwieńczonych ciemnolistemi jodłami i rzędem na sto stóp w górę strzelających buków. Wszystkie proste, wszystkie dziwacznie kępkami mchu upstrzone, wszystkie odmienne kształtem i kolorem liścia, drzewa te tworzą wspaniałe kolumnady, wzdłuż których nierówną powyginaną linią biegnie niby ogrodzenie z mącznicy, kaliny, bukszpanu i ciernia. Silny zapach tych krzewów mieszał się w téj chwili z dziką wonią górskiej natury i odurzającym aromatem pękających pączków modrzewiu, topoli i sosen żywicznych. Drobne chmurki uwijały się pomiędzy skałami, odsłaniając lub zakrywając naprzemiany szarawe szczyty, częstokroć równie mgliste jak te obłoczki, które się o nie rozdzierały. Co chwila na ziemi mieniły się widoki, na niebie światła. Co-raz inne kolory stroiły góry, co-raz inne cienie słały się na ich spadkach; wzgórze występowały w co-raz innych kształtach, a wszystko to było pełne niespodziewanych kontrastów: promieni słońca przedzierających się przez gęste i ciemne gałęzie, polanek wśród najbardziej zarosłych drzewami przestrzeni, rozpadlin lub wypukłości; a wszystko to było dziwnie urocze w téj ciszy i w téj porze, w której króluje młodość, w której słońce rozplomienioném okiem z czystego lazuru spogląda. Jednym słowem, był-to kraj piękny! była-to Francya!

Podróżny, człowiek wysokiego wzrostu, miał na sobie ubranie z niebieskiego sukna, równie starannie wyczyszczone, jak jego koń o połyskliwej maści, na którym trzymał się prosto, niby przyśrubowany. Tak tylko siedzieć umieją starzy oficerowie kawaleryi. Krawat czarny, rękawiczki ze skóry daniela, pistolety wyglądające z olstrów i tłumoczek z tyłu do siodła przytroczony dowodziły w istocie jego wojskowego powołania; ale nawet, gdyby nie te oznaki, to sama już twarz, śniada i ospowata lecz o regularnych i pewnym lekceważeniem nacechowanych rysach, śmiałe wejrzenie, ruchy stanowcze i cała postawa byłyby w nim zdradziły te nawyknięcia marsowe, od których żołnierz nawet w prywatnym życiu odzwyczaić się nie może. Każdy inny byłby się zdumiewał nad urokiem téj natury alpejskiej, tak uśmiechniętej, tak dziewiczej; ale oficer nasz, który zapewne w

wojennym marszu armii francuskiej kawał świata zbiedz musiał, patrzył na otaczające go widoki bez najmniejszego podziwu. Bo też można powiedzieć, że Napoleon wykorzenił to uczucie z piersi swoich żołnierzy tak, iż niezachwiany spokój w wyrazie fizygnomii jest najpewniejszym znakiem, po którym poznać się dają ludzie, którzy walczyli niegdyś pod nieśmiertelnymi, pomimo krótkości ich panowania, orłami wielkiego cesarza. Nasz podróżny był rzeczywiście jednym z tych wojowników, których oszczędziła kula, pomimo że nastawiali piersi na wszystkich polach bitew, gdzie dowodził Napoleon. Życie jego nie przedstawiało żadnych nadzwyczajności. Bił się, jak przystało na dzielnego żołnierza, pełniąc swój obowiązek z równą gorliwością w dzień jak w nocy, pod okiem wodza, jak zdala od niego, nie mając sobie do wyrzucenia, aby choć jedno cięcie jego pałasza było bezskuteczne, lub co więcej, aby było zbyteczne. Jeżeli na piersiach jego jaśniała wstęga Legii Honorowej, to zawdzięczał ją swemu pułkowi, który po bitwie pod Moskwą jednomyślnie ogłosił go za najgodniejszego tego zaszczytu w dniu tym pamiętnym. Należał on do szczupłej liczby tych ludzi, zimnych napozór, cichych, zawsze w zgodzie ze sobą samym będących, których sama myśl proszenia o coś upokarza; dlatego też musiał długo na każdy awans oczekiwać. Zostawszy podporucznikiem w 1802 roku, był w 1829, pomimo siwych już włosów, zaledwie dowódcą szwadronu; ale życie jego było tak czyste, że każdy, czy-to generał, czy prosty piechur zbliżał się do niego z mimowolnym prawie uczuciem poszanowania, czego zwierzchnicy darować mu nie mogli. Nawzajem wszyscy żołnierze kochali go tak, jak dzieci kochają dobrą matkę, bo umiał być dla nich jednocześnie pobłażliwym i surowym. Sam niegdyś prosty żołnierz jak oni, znał do gruntu wszystkie te, jeżeli się tak wyrazić można, nieszczęsne uciechy i radośne smutki obozowego życia, wiedział, jakie z wybryków tych, których zawsze swemi **dziećmi** nazywał, wybaczyć można, a jakie ukarać należy, i pozwalał im zaopatrywać się w żywność po wsiach i w furaz po miastach. Co się tyczy prywatnych jego dziejów, te najgłębsze pokrywało milczenie. Jak prawie wszyscy wojskowi przyglądał się światu tylko przez dymy z dział, lub podczas chwil pokoju tak rzadkich w zamęcie wojny europejskiej, którą prowadził cesarz. Czy pomyślał kiedy o małżeństwie? odpowiedź na to była trudna. Chociaż nikt nie wątpił, że kapitan Genestas, z ciągłych wędrówek z miasta do miasta i z kraju do kraju, z zabaw, w których wraz z pułkiem swoim brał udział, musiał wynieść wspomnienie niejednej różowej chwilki; jednakże żadnej w tym względzie nie miano pewności. Nie będąc skromniszem, nie uchylając się od wesołych pohulanek i zwyczajów życia obozowego, kapitan zbywał zawsze milczeniem lub śmiechem tych, co go o jego miłosne sprawy zagadywali. Gdy który z kolegów odezwał się przy kieliszku: No, a ty komendancie, cóż nam powiesz? – odpowiadał zawsze: „Pijmy, panowie”.

Tak tedy pan Piotr-Józef Genestas, ten Bayard na małą skalę, nie miał w sobie nic poetycznego ani romantycznego. Z powierzchowności wyglądał na człowieka, któremu służy dobrobyt. Pomimo że całym jego majątkiem był żołd, a całą przyszłością – nadzieja emerytury, kapitan nasz na podobieństwo tych starych wygów handlowych, których nieszczęścia nauczyły doświadczenia graniczącego z uporem, miał zawsze w zapasie żołd dwuletni i nigdy wszystkich dochodów nie wydawał. Na grę był całkiem obojętny i zwykle przypatrywał się spokojnie końcom swoich butów, gdy rozkładano zielone stoliki i zabierano się do écarté lub tym podobnych. Jeżeli jednak kapitan Genestas nie pozwalał sobie żadnych wybryków, nie zaniedbywał też niczego, co jest koniecznym. Mundury służyły mu zawsze dłużej niż innym, dzięki staranności w ich noszeniu, którą wyrabia mierność, a która u niego stała się machinalną. Możliwe go było posądzić o skąpstwo, gdyby nie godna uwielbienia bezinteresowność jego i ta braterska skwapliwość, z jaką przychodził z pieniężną pomocą każdemu lekkomyślnemu młodzikowi, co się zgrał w karty lub się jakimś innym szaleństwem młodości zrujnował. Prawdopodobnie kapitan sam musiał kiedyś przechodzić podobne katastrofy, i to go nauczyło w delikatny sposób wyplątywać z nich innych; a raz zobowiązawszy kogoś, nie rościł sobie prawa do kontrolowania go i nie mówił mu nigdy o tém, co dla niego zrobił. Sam jeden na świecie, stworzył sobie ojczyznę z armii a rodzinę ze swego pułku. To też rzadko kto dobadywał powodów jego oszczędności; wogóle przypisywano ją dość naturalnej chęci powiększania zapasu na stare lata, które, po wysłużeniu emerytury i kapitańskich szlif, spędziłby spokojnie w jakimś

wiejskiem zaciszu. Młodzi oficerowie, gdy była mowa o Genestacie, liczyli go zawsze do rzędu tych ludzi, co-to skończywszy przykładnie szkoły, zostają już do końca życia równie przykładni, akuradni, uczciwi, pożyteczni i... ckliwi; ale ludzie poważni inne o kapitanie mieli pojęcia. Często jakieś spojrzenie, jakieś energiczne zdanie zdradzały, że w tej duszy burzyło się kiedyś i gotowało. Z czoła jego wyczytać można było, że człowiek ten posiada władzę powściągnięcia i tłumienia namiętności, władzę drogo nabytą przez nawyknięcie do niebezpieczeństw i nieprzewidzianych gromów wojny. Gdy pewnego razu syn para Francji, świeżo do pułku zaciągnięty, wyraził się o Genestacie, że mógłby być najsumienniejszym z księży i najuczciwszym z kupców, ten, słysząc to, odezwał się: „Dodaj pan, że i najmniej ugrzecznionym z markizów”. Młodzik zmieszał się, a obecni wybuchnęli śmiechem, ojciec bowiem nowozacieżnego znany był ze swego nadskakiwania wszystkim władzom i z elastyczności w przerzucaniu się z jednego stronnictwa w drugie, które-to cenne przymioty syn także po nim odziedziczył. Armie francuskie wypiastrowały na łonie swoim wiele z tych charakterów, prawdziwie szczytnych w potrzebie, a pełnych prostoty w zwyczajnych okolicznościach życia, niedbających o sławę, zapominających o niebezpieczeństwie, wypiastrowała ich więcej może, niżby się tego po ułomności natury ludzkiej spodziewać można. Jednakowoż myliłby się bardzo, ktoby mniemał, że Genestas był bez zarzutu. Przeciwnie: podejrzliwy, skłonny do gwałtownych wybuchów gniewu, lubiący się sprzeczać i chcący mieć zawsze słuszość, zwłaszcza wtedy, gdy ję miał najmniej za sobą, Genestas prócz tego pełen był przesądów narodowych. Z czasów żołnierskich pozostało mu upodobanie w dobrém winie. Gdy po jakiejś biesiadzie wychodził z należnym swojemu stanowisku *decorum*, wydawał się wtedy bardzo poważny, bardzo zadumany i nie chciał nikogo przypuścić do tajemnicy swoich myśli. Wreszcie, jeżeli znał dosyć świat, obyczaje i przepisy grzeczności, do których się z czysto wojskową sztywnością stosował; jeżeli umiał wszystko, co w zakres jego powołania wchodziło, począwszy od fechtunku, a skończywszy na weterynarstwie: to z drugiej strony naukowo bardzo był zaniedbanym. Wiedział, ale dość niepewno, że Cezar był konsulem czy też cesarzem rzymskim a Aleksander – Grekiem lub Macedończykiem, bez długich certacyj przyznałby mu jedną lub drugą z tych narodowości. To też w rozmowach naukowych i historycznych przybierał zwykle poważną minę, ograniczając się na milczącym przytakiwaniu, jak człowiek, co w głębszej nauce doszedł do sceptycyzmu. Gdy Napoleon w buletynie datowanym z Schönbrunn dnia 13 maja 1809 r., a wystosowanym do wielkiej armii, która podówczas Wiedeń opanowała, że **książęta austriaccy na podobieństwo Medei własnymi rękami wymordowali swoje dzieci**, Genestas, świeżo nominowany kapitanem, nie chciał skompromitować swego stopnia zapytaniem, kto była ta Medea, ale polegając w tém na gieniuszu Napoleona i pewien, że cesarz tylko urzędowemi rzeczami może się dzielić z wielką armią i domem austriackim, pomyślał, że Medea ta była jakąś arcyksiężniczką austriacką dwuznaczną konduity. Bądź-co-bądź, ponieważ mogło to mieć związek ze sztuką wojskową, kapitan rad był dowiedzieć się czegoś więcej o owęj Medei z buletynu i ciekawość dręczyła go aż do dnia, w którym panna Raucourt wskrzesiła *Medeę* w repertuarze teatralnym. Przeczytawszy afisz, kapitan nie omieszkał udać się wieczorem do **Théâtre-Français**, by widzieć słynną aktorkę w tej mitologicznej roli, o której bliższych szczegółów od sąsiadów zasięgnął. Przecież człowiek, który jako prosty żołnierz miał dosyć wytrwałości, by się nauczyć czytać, pisać i rachować, musiał to czuć, że jako kapitanowi kształcić mu się trochę potrzeba. Zaczął więc od tej pory czytywać z zapalem nowe książki i powieści, a te mu dały trochę wiadomości, z których dość dobrze korzystać umiał. Wdzięczność dla swoich mistrzów oświaty posuwał tak daleko, że występował w obronie Pigault-Lebrun'a, nazywając go pouczającym a często nawet głębokim.

Takim był nasz podróżny, który dzięki nabytej wiekiem roztropności, ani jednego kroku bez potrzeby nie zrobił, a który teraz jechał z Grenobli ku la Grande-Chartreuse, otrzymawszy od pułkownika ośmiodniowy urlop. Nie zdawało mu się to daleko, ale zwodzony wciąż kłamliwemi informacjami wieśniaków, których zapytywał po drodze, nie chciał się puszczać dalej, nie posiliwszy się wprzód. Chociaż w porze takiej, gdy wszyscy na polach pracują, słabą mógł mieć nadzieję zastania w domu jakiejś gosposi, zatrzymał się wszelako przed kilku chatami zbudowanymi w

nieforemny czworobok, do którego przystęp był dla każdego otwarty. Bluszcz, dzikie róże i inne krzewy pięły się wzdłuż popękanych i podziurawionych ścian tych lepianek. U wejścia do czworoboku stróżował nędzny krzak porzeczkowy, na którym suszyły się szmaty. Pierwszym mieszkańcem, jakiego napotkał Genestas, był wieprzak zagrzebany w słomie, który na odgłos kroków zacharchotał i skłonił tém do ucieczki dużego czarnego kota. Po chwili ukazała się młoda wieśniaczka niosąca na głowie pęk zielska, a za nią w niewielkiej odległości czworo dzieciaków w łachmanach, śmiałych, krzykliwych, o zuchwałych oczach i ładnych, śniadawych twarzyczkach, istnych dyabełków, które przecież do aniołków są podobne. Słońce świeciło jasno, oblewając dziwnym jakimś urokiem świeżości te chaty wpół rozpadłe i tę obszarpaną gromadkę. Wojskowy nasz zapytał, czyby mógł dostać szklanę mleka. Zamiast odpowiedzi, dziewczyna wydała chrapliwy okrzyk i wnet na progu chaty ukazała się stara kobieta. Młoda wieśniaczka, wskazawszy ją Genestasowi zniknęła w oborze, a kapitan skierował się ku niej, wstrzymując konia, by nie potrącić którego z dzieciaków, co się już koło niego kręciły. Powtórzywszy swą prośbę, otrzymał odmówną odpowiedź. Stara kobieta powiedziała mu, że nie chce zbierać śmietanki z mleka przeznaczonego już na robienie masła; ale oficer zapewnił ją, że wynagrodzi dobrze ten uszczerbek i, przywiązawszy konia do odźwierka, wszedł do chaty. Czworo dzieciaków, które zdawały się do téj kobiety należeć, były wszystkie w równym wieku i dziwaczna ta okoliczność zastanowiła kapitana. Stara miała przy sobie piątego, uczonego niemal u jęj spódnicy, a ten bładny i chorowity musiał największych starań wymagać i być ukochanym Benjaminkiem. Genestas usiadł w kącie przy wysokim kominie, z wygasłym ogniskiem, na którego kapturze stał z kolorowego gipsu posążek Najświętszej Panny z dzieciątkiem Jezus w objęciach. Podłogi w chacie nie było, zastępowała ją ziemia, chropowata i popękana ale czysto umieciona. W kominie wisiał chodak napełniony solą, patelnia i kociołek. W głębi stało łóżko z drabinkami, ozdobione kotarą. Kilka stołków drewnianych o trzech nogach wwierconych poprostu w kawałek deski, dziezka do chleba, duża drewniana łyżka do czerpania wody, szkopek i garnki na mleko, wrzeczono porzucone na dzieży, parę drabinek do suszenia serów: oto były wszystkie sprzęty w téj ubożuchnej izdebce o czarnych ścianach i drzwiach spróchniałych z okrągłym pośrodku otworem. Na takiój scenie odegrał się téż odpowiedni jęj dramat, a świadkiem jego był podróżny, który, uderzając o ziemię szpicrutą, siedział, nie domyślając się nawet, że nań patrzeć będzie. Gdy stara wraz ze swym Benjaminkiem zniknęła za drzwiami wiodącymi do małej mleczarni, dzieciaki, przypatrzawszy się dostatecznie wojskowemu, zaczęły od pozbycia się wieprzaka. Schłodne to zwierzątko, dzielące zazwyczaj ich zabawy, przyszło na próg izby; ale dzieci rzuciły się na nie z taką siłą i tak je poturbowały, że w szybkiej ucieczce ratunku szukać musiało. Skończywszy z jednym nieprzyjacielem, dzieci przypuściły szturm do jakichś drzwi, a gdy im się udało oderwać nadwyreżoną już zębem czasu klamkę, wpadły przez nie do małej spiżarki, a kapitan, którego ta scena bawiła, zobaczył ich tam zajadających ze smakiem śliwki suszone. W téj chwili stara kobieta, o pergaminowej twarzy, weszła, niosąc dla gościa garnuszek mleka.

– A! wy nicponie! – zawołała, i podszedłszy ku dzieciom wzięła każde za ramię i wypchnęła napowrót do izby, nie odbierając im wszelako śliwek. – No, no, moje robaczki! bądźcie grzeczne – rzekła, zamykając starannie drzwi spiżarki, a spoglądając na Genestasa dodała: – Te urwisy zjadłyby wnet wszystko, gdyby ich tylko nie pilnować!

Pocém usiadła na stołku i, trzymając najmłodszego dzieciaka na kolanach, zaczęła go czesać, podnosząc mu od czasu do czasu główkę i przypatrując mu się z czułością macierzyńską. Tymczasem mali złodzieje zabrudzeni i obszarpani, ale widocznie zdrowi, skupili się w kącie koło łóżka i gryząc w milczeniu śliwki, przyglądali się z pod-oka nieznanomemu.

– To wasze dzieci? – zapytał kapitan staręj.

– Z przeproszeniem łaski pana, to dzieci ze szpitala. Dają mi od każdego trzy franki i funt mydła na miesiąc.

– Ależ, moja matko, one was samę więćj kosztują – zauważył kapitan.

– Tak też i pan Benassis powiada; ale inne biorą dzieci za tę samą płacę, trzeba na niej poprzestać! Nie tak-to łatwo dostać dziecko, jak się zdaje! A choć-byśmy mu i darmo mleko dawały, toć ono nas przecie nie kosztuje. Zresztą, trzy franki, proszę pana, to coś także znaczy. Ot! u mnie, piętnaście franków na miesiąc jakby znalazł, nie licząc pięciu funtów mydła. A u nas tu, trzebasie dobrze napocić i naharować, żeby jakie dziesięć sous dziennie zarobić.

– A macie jaki kawałek gruntu? – zapytał komendant.

– Nie, proszę łaski pana. Za życia nieboszczyka męża było tam tego trochę, ale po jego śmierci wszystko sprzedać musiałam.

– Jakże więc sobie radzicie – ponowił Genestas – by do końca roku bez długu dociągnąć i starczyć na wyżywienie, opranie i ubranie tych dzieci?

– Ha! proszę pana – odparła, czesząc ciągle chorowitego malca – to też się i bez długu na św. Sylwestra nie obejdzie. Cóż robić? pan Bóg jakoś dopomaga. Mam dwie krowy, latem podczas żniw ja i moja córka zbieramy kłosa na ścierniskach, w zimie chodzimy po drzewo do lasów a wieczorami przędziemy. Ot i jakoś idzie, byle tylko Bóg chronił od takiej zimy jak ostatnia. Winnam siedemdziesiąt pięć franków młynarzowi za mąkę. Ale na szczęście to młynarz pana Benassis'a. O! bo pan Benassis – to prawdziwy biednych przyjaciel. Nigdy się nie upomina, jak mu co kto winien; a ode-mnie też nie zacznie. Zresztą, krówka jedna mi się ocielila, będzie z czego trochę upłacić.

Przez ten czas dzieciaki, których jedyną na świecie opieką była ta stara nędzarka, ułatwiły się ze śliwkami, a widząc, że wychowawczynie ich zajęta rozmową z oficerem nie uważa na nich, skorzystały z tego, by nowy atak do zapartych drzwi przypuścić. Posunęły się więc ku nim w ściśnionym szeregu, nie tak jak Francuzi idą do szturm, ale w milczeniu, jak Niemcy, i tak jak oni nienasyconym łakomstwem wiedzone. Ale zamiar malców nie uszedł oka stariej.

– A nicponie! – zawołała – długoż-to tego będzie?

I wstawszy uderzyła zlekka po plecach najsilniejszego z dzieciaków, który się jednak nie rozplakał, i wyrzuciła go za drzwi. Pozostałe patrzyły na to w milczącym osłupieniu.

– Macie z nimi wiele kłopotu – rzekł Genestas.

– E! nie, proszę pana, tylko ich oskoma na śliwki bierze! biedactwo! Gdyby-to tego nie pilnować, poobjadałyby się na śmierć.

– Kochacie ich?

Na to pytanie stara podniosła głowę i popatrzyła na kapitana, uśmiechając się nieco rubasznie.

– Czy ich kocham?... Już-em ich troje oddała – dokończyła, wzdychając – tylko do sześciu lat mam je u siebie.

– A gdzie jest wasze własne?

– Umarło.

– Ileż lat sobie liczycie? – zagadnął Genestas, chcąc zatrzeć wrażenie poprzedniego pytania.

– Trzydzieści osiem, proszę pana. Na św. Jan będzie dwa lata, jak mąż mój umarł.

Mówiąc to kończyła ubierać słabego malca, który zdawał się jęć dziękować wejrzeniem tkliwym i smutnym.

– Otóż-to życie poświęcenia i pracy! – pomyślał kapitan.

I w istocie, pod tym ubożuchnym dachem, godnym stajenki, w której przyszedł na świat Syn Boga, spełniały się wesoło, z prostotą najtrudniejsze obowiązki macierzyństwa. Ileż-to serc wzniostych – zagrzebanych bywa w najzupełniejszym zapomnieniu! Ile prawdziwego bogactwa kryje się nieraz pod nędzą! Żołnierze lepiej niż ktokolwiekby inny umieją cenić tę, że się tak wyrażę, ewangelię w łachmanach. Gdzie-indziej znajdujemy księgę, **tekst** sam oprawny w aksamit i atlas, uzłożony i układowany, ale **ducha** téj księgi, tego szukać potrzeba w takich obrazach, jak ten, który miał przed oczyma kapitan Genestas. Niepodobna było prawie nie uwierzyć w jakieś święte natchnienie płynące z nieba, patrząc na tę kobietę, która stała się matką, jak Jezus Chrystus stał się człowiekiem, która pracowała, cierpiała, zadłużała się dla biednych, opuszczonych dzieci, i sama

przed sobą oszukiwała się w rachunkach, by nie przyznać, że to posłannictwo matki uboży ją do szczytu. To też kapitan patrzył na nią długo, potrząsając głową w milczeniu.

– Czy pan Benassis dobrym jest doktorem? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem tego, proszę pana, ale biednych darmo leczy.

– Widać – rzekł kapitan, mówiąc jakby do siebie samego – że człowiek ten jest prawdziwym człowiekiem w całym znaczeniu tego słowa.

– Oj! tak, tak, kochany panie! zacny-to człowiek i nie masz w całej okolicy takiego, co-by się za niego rano i wieczór nie modlił.

– No, macie tu matko! – rzekł Genestas, dając stariej parę sztuk monety. – A to dla dzieci – dodał, wsuwając jej w rękę dukata. Poczem dosiadł konia, pytając:

– A dalekoż tam jeszcze do pana Benassis'a?

– O! nie, kochany panie, najwięcej milka drogi.

Kapitan odjechał przekonany, że ma przed sobą z jakie dobre dwie mile do zrobienia. Jednakowoż wkrótce dojrzał widniejącą z po-za drzew grupę domów, po-nad dachy których wystrzelała dzwonnica stożkowatego kształtu, połyskująca w słońcu blaszanemi taflami, jakimi po rogach oblamowaną była. Oryginalnie to wygląda i oznajmia bliskość Sabaudyi, gdzie podobne dachy bardzo są w użyciu. Dolina rozszerza się w tém miejscu, a domy malowniczo rozrzucone po niej ożywiają kraj ten, dobrze uprawny, ze wszech stron górami zamknięty, bez wyjścia prawie. Nieopodal od miasteczka, które nieco z boku drogi ku południu się usadowiło, Genestas zatrzymał konia przed gromadką dzieci bawiących się pod cieniami wiaźów i zapytał o dom pana Benassis'a. Dzieci, spojrzawszy po sobie, zaczęły się przypatrywać nieznanemu z ciekawością właściwą ich wiekowi, z jaką spoglądają na wszystko, co pierwszy raz pod oczy im podpada. Poczem najśmielszy z nich, mały chłopak, z żywemi oczyma i bosemi, obłoconemi nogami odezwał się powtarzając, jak-to także w zwyczaju u dzieci bywa, zadane mu pytanie: – Dom pana Benassis'a? Ja tam pana zaprowadzę. I poszedł naprzód, powodowany już-to chęcią pewnego odznaczenia się, jako przewodnik nieznanego, już dziecięcą usłużnością, już wreszcie tą nieprzewartą potrzebą ruchu i zmiany, która w tym wieku jest samowładną panią ciała i umysłu. Genestas udał się za chłopcem wzdłuż głównej ulicy miasteczka, ulicy kamienistej, o licznych zagięciach, opasanej z obu stron domami zbudowanemi według upodobania i fantazyi ich właścicieli. Tu jakaś wieża wyskakuje prawie na sam środek drogi, tam bok jakiejś kamieniczki zagrada ją w połowie, ówdzie strumyk z gór płynący przerzyna ją zygzakiem. W pokryciach domów ten-że sam brak symetrii i różnaitości. Przy dachach gontowych, słomiane strzechy, gdzie-niegdzie łupkowe zapewne do zamożniejszych mieszczan, proboszcza i sędziego pokoju należące. Wszystko tam tchnęło jakimś zaniedbaniem, nietroszczeniem się o to, jak się gdzieindziej dzieje; mieszkańcy téj miejscowości tworzyli niby jedną rodzinę odciętą od reszty społeczeństwa, z którym łączył ją poborca podatków lub temu podobne, niedostrzeżone prawie węzły. Przebywszy tę ulicę Genestas ujrzał drugą, szeroką, wznoszącą się po-nad pierwszą na pochyłości góry. Była-to widocznie druga, nowsza część miasteczka, zabudowana porządnie i wysadzona dwoma rzędami młodych jeszcze drzew. Tutaj o uszy kapitana obły się śpiewy robotników, pomieszane z turkotem warsztatów, zgrzytem pił i hukiem młotów. Z kominów unosiły się szare wstęgi dymu, najobfitsze wydobywały się z domów ślusarza, kołodzieja i kowala. Wreszcie w samym już końcu wioski Genestas ujrzał rozrzucone tu i owdzie fermy, pola dobrze uprawne i plantacye umiejętnie zaprowadzone.

W téj-że prawie chwili chłopak zawołał:

– Oto **jego** dom.

Oficer zsiadł z konia, założył cugle na rękę, a pomyślawszy, iż nic darmo na tym świecie, wyjął parę soldów z kieszeni i dał je chłopcu, który wziął je z podziwieniem, zrobił wielkie oczy i nie podziękowawszy stał w miejscu.

– Cywilizacya nie bardzo się jeszcze tutaj rozgospodarowała – pomyślał Genestas – tradycye pracy kwitną w całej pełni, a żebrania nawet i nie kielkuje. Tymczasem przewodnik jego, więcej

ciekawej niż zysku chciwy, oparł się o mur otaczający dziedziniec, mur dość wysoki, nad którym biegła jeszcze krata z poczerńiałego drzewa, po obu stronach bramy umieszczona.

Bramę tę, w dolnej części masywną, niegdyś naszaro malowaną, tworzyły wyżej żółte, żelazne sztachety, zaginające się w półkole ku górze każdego skrzydła tak, że po zamknięciu obu połów końce tych słupków zbiegały się pośrodku niby w ogromną szyszkę. Całość stoczona prawie przez robaki, upstrzona mchem, nosiła na sobie wyraźne ślady zniszczenia przez długoletnie działanie słońca i deszczu naprzemiany. Z wewnątrz dwie akacje po obu stronach bramy rosnące wychylały się nad nią ciekawie zielonemi koronami przypominającymi kształtem te puszki, których płec piękna do pudrowania się używać zwykła. Wogóle stan całego ogrodzenia zdradzał niedbałość właściciela, co musiało się nie podobać oficerowi, bo zmarszczył brwi jak człowiek doznający jakiegoś rozczarowania. Przyzwyczajeni jesteśmy sądzić drugich podług siebie i wybacząc im chętnie nasze błędy, potępiamy ich surowo za brak tych przymiotów, które sami posiadamy. Jeżeli komendant pragnął znaleźć w panu Benassis'ie dbałego o porządek i systematycznego człowieka, to wejście do jego domu mówiło o zupełnej obojętności na te cenne zalety. To też Genestas wyprowadził ząd wnet wnioski o sposobie życia i charakterze właściciela. Brama była uchylona; nowy dowód niedbałości, dzięki której Genestas mógł bez ceremonii dostać się w podwórze, gdzie chciał konia do kraty przywiązać, ale w chwili gdy cugle zaciągał, ozwało się rzenie z pobliskiej stajni ku której jeździec i koń mimowolnie zwrócili oczy, a w ślad za tém ukazał się na progu stary sługa w ubraniu głowy podobnym zupełnie do tej frygijskiej czapki, w którą przystrajają Wolność. Ponieważ w stajni było miejsce na kilka koni, starowina, dowiedziawszy się, że Genestas w odwiedzinach do pana Benassis'a przyjechał, ofiarował mu się z gościnnością dla wierzchowca, patrząc przytém z uwielbieniem i czułością niemal na piękne w istocie zwierzę. Genestas poszedł za koniem, chcąc zobaczyć, jak mu tam będzie. Stajnia była czysta, żłób obfity, oba bieguny pana Benassis'a miały tę zadowolnioną minę, po jakiej wśród wszystkich innych koni odgadnąć można konia proboszczowskiego. Tymczasem z domu nadeszła służąca i stanęła przed Genestas'em, zdając się wyczekiwać na zapytanie nieznanego, któremu już staruszek powiedział, że pana Benassis'a w domu nie było.

– Jegomość poszedł do młyna – objaśnił. – Jeżeli pan się tam chce pofatygować, to trzeba iść tą ścieżką do łąki, a młyn tam jest na końcu.

Kapitan wolał rozejrzeć się po okolicy, niż czekać na miejscu pana Benassisa, poszedł więc wskazaną drogą. Minawszy nierówną linię, jaką miasteczko na grzbiecie góry zakreśla, ujrzał dolinę, młyn i najpiękniejszy widok, na jaki mu się kiedykolwiek patrzeć zdarzyło.

W miejscu tém rzeka, zagrodzona w biegu górami, tworzy małe jezioro, ponad którym wyżej, coraz wyżej jedno nad drugim wznoszą się cyple, a między niemi, w zagłębieniach ukryte doliny, zdradzają obecność swoją rozmaitemi odcieniami światła i wynurzającym się z ich łona szeregiem jodeł czarnych. Na drugim brzegu rzeki u stóp góry, słabo pod tę chwilę oświeconej promieniami zachodzącego słońca, Genestas ujrzał kilkanaście chat w stanie zupełnego opuszczenia, bez drzwi, okien, o podziurawionych dachach, co dziwną tworzyło sprzeczność z wybornie uprawnemi polami i pyszną zielonością łąk, które ją otaczały. Genestas natychmiast zatrzymał konia, by przyjrzyć się szczytkom tej niegdyś wioski.

Zkąd to pochodzi, że ludzie nie mogą bez głębokiego wzruszenia poglądać na jakiegokolwiek bądź, choć-by najlichsze ruiny? Zapewne są one dla nich wyobrażeniem nieszczęścia, którego ciężar każdy tak odmiennie czuje. Cmentarz nasuwa myśli o śmierci, opuszczona wioska przywodzi na pamięć troski i cierpienia życia. To pierwsze, śmierć jest rzeczą przewidzianą, ale te drugie, te troski i cierpienia te są nieokreślone, bez końca! A nieskończoność nie jest-że tajemnicą największych nieszczęść? Genestas wszedł już na kamienistą dróżkę wiodącą do młyna, nie mogąc sobie wytłómaczyć powodów opustoszenia tej wioski, a ujrawszy siedzącego przed domem na worku zboża młynarczyka, zapytał go o pana Benassisa.

– Pan Benassis poszedł tam – odparł chłopak, wskazując jedną z nawpół rozwalonych chat.

– Czy ta wioska się spaliła? – zagadnął Genestas.

– Nie, panie.

– A dlaczegoż jest w takim stanie? – ponowił komendant.

– Ba! dlaczego! – rzekł młynarczyk wruszając ramionami i wchodząc do domu. – Pan Benassis to panu powie.

Genestas przeszedłszy po jakimś niby moście ułożonym z dużych kamieni, między którymi wiał się strumyk, stanął wkrótce przed wskazaną chatą. Strzecha omszona, ale nie dziurawa, pokrywała nie najgorzej jeszcze wyglądające ściany lepianki. Wchodząc do wnętrza, Genestas ujrzał palący się ogień na kominie, a w kącie obok kobietę, klęczącą przed siedzącym w krześle chorym, i mężczyznę, który stał z twarzą do ognia zwróconą. W izbie tej o jednym tylko okienku, z podłogą z ziemi ubitej, nie było żadnych sprzętów prócz stołu, krzesła i lichego tapczana. Nigdy komendant nie widział równie nagiętej i ubogiej siedziby, nawet w Rosyi, gdzie chaty muzyków podobne są raczej do jam niż do ludzkich mieszkań. Tutaj, opuszczenie dosięgło takiego stopnia, że nie było nawet sprzętów koniecznych do przyrządzenia choć-by najprostszej strawy, do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia. Gdyby nie tapczan, nie płócienna wisząca na gwoździu kapota i chodaki, jedyna odzież chorego, możnaby było przypuszczać, że się jest w jakiejś psiej budzie, z której nawet miskę zabrano. Klęcząca kobieta, stara już bardzo wieśniaczka usiłowała utrzymać nogi chorego w kuble napelnionym brunatną wodą. Na odgłos kroków, a raczej na brzęk ostróg, nie mający nic wspólnego z głuchym stąpieniem bosych lub uchodakowanych nóg wieśniaków, mężczyzna zwrócił się ku Genestasowi, okazując zdziwienie, które też i stara kobieta podzielała.

– Nie potrzebuję pytać, czy mam przyjemność widzieć pana Benassisa – rzekł komendant. – Wybaczysz pan, iż nieznamy a pragnący pana co najprędzej zobaczyć, przyszedłem aż tu na pole jego działania, zamiast u pana w mieszkaniu poczekać. Proszę, nie przeszkadzaj pan sobie. Gdy skończysz, powiem co mnie sprowadza.

Po tych słowach Genestas usiadł na stole i zamilkł. Ogień rozświecał izbę blaskiem jaśniejszym niż słoneczny, którego promienie łamiąc się o szczyty gór nie dochodzą nigdy do tej części doliny. Przy tém to migotliwém świetle Genestas mógł przypatrzeć się twarzy człowieka, którego, powodowany tajemniczą chęcią, pragnął zbadać i poznać doskonale. Pan Benassis, lekarz kantonu, stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, słuchając obojętnie mowy Genestasa, poczem oddawszy mu ukłon, zwrócił się do chorego, nie przypuszczając, że jest przedmiotem tak ścisłego badania.

Benassis był wzrostu średniego, ale barczysty i szerokiej piersi. Obszerny surdut zielony, zapięty pod samą szyję, nie dozwolił Genestasowi uchwycić dobrze cech charakterystycznych jego postaci i ułożenia, w zamian za to twarz rysowała się w całej jasności konturów na czerwonym tle ognia. Twarz ta miała wielkie podobieństwo do rysów satyra: toż samo czoło zlekka ku tyłowi ściągnięte, o liniach nierównych i znaczących, ten sam nos zadarty z małym na końcu rozdwojeniem, też same wystające policzki. Usta miał wygięte o pełnych i czerwonych wargach, brodę wystającą, oczy ciemne, żywe i pełne ognia, któremu perłowy kolor białek większego jeszcze blasku dodawał, zdradzając uśmierzone ale nie wygasłe namiętności. Włosy niegdyś czarne, a teraz siwe, głębokie zmarszczki twarz przecinające, brwi gęste szronem już przypruszone, nos zgrubiały i cera żółta z czerwonymi plamami; wszystko to mówiło o przeżytych pięćdziesięciu latach i ciężkich pracach powołania tego człowieka. Z kształtu głowy oficer nasz żadnych wniosków wyciągnąć nie mógł, bo przykrywał ją kaszkiet, ale mimo to wydała mu się jedną z głów zwanych pospolicie **kwadratowymi głowami**.

W częstém zetknięciu z ludźmi silnych charakterów, których tak poszukiwał Napoleon, Genestas nauczył się rozpoznawać po rysach tych, co do spełnienia czegoś wielkiego na świecie przeznaczeni byli, i teraz też odgadł, że jakaś tajemnica kryje się w życiu tego człowieka, a patrząc na jego niepospolitą twarz, zapytywał sam siebie: – Co zeń wiejskiego lekarza zrobiło? Przyjrząwszy się dokładnie tej fizyognomii, znamionującej mimo podobieństwa do wielu innych jakąś wybitną,

wewnętrzna indywidualność, Genestas przeniósł wzrok na chorego, którego widok zmienił zupełnie dotychczasowy bieg jego myśli.

Choć tyle już rozmaitych a dziwnych obrazów przesunęło się mu przed oczyma w ciągu koczowniczego, żołnierskiego życia, doznał on przecież uczucia podziwu połączonego z odrazą ujrzawszy twarz ludzką, której nigdy myśl żadna nie musiała ożywiać, twarz siną, napiętnowaną cierpieniem milczącym i naiwnym, jak u dziecka, co już krzyknąć nie może, a mówić się jeszcze nie nauczyło, jedynym słowem twarz zupełnie zwierzęcą starego, umierającego kretyna. Była to jedyna odmiana rodzaju ludzkiego, której jeszcze nie znał Genestas. Któż na widok tego czoła, z pofałdowaną nieforemnie skórą, tych dwojga oczu, martwych, bezmyślnych jak u ryby ugotowanej, tej głowy zakłęsłej i pokrytej kosmykami rzadkich włosów, nie był-by doznał mimowolnego uczucia wstępu do istoty pozbawionej wszelkich ludzkich i zwierzęcych własności, która nigdy nie miała ani rozumu, ani instynktu, nigdy nie słyszała żadnej mowy i żadną odezwać się nie potrafiła. Trudno było zaiste ubolewać nad gaśnięciem tego istnienia, którego życiem nazwać nie można; stara kobieta jednakowoż patrzyła na tego biedaka z tkliwym niepokojem i polewała mu wodą nogi tak troskliwie i czule, jakby to mężowi swemu robiła. Benassis, sam, przyjrzawszy się tej zamarłej twarzy i zgasłym oczom, ujął ręką kretyna, badając puls.

– Kąpiel nic nie działa – rzekł wstrząsając głową. – Trzeba go położyć.

I wzięwszy tę bezwładną masę ciała przeniósł ją delikatnie na tapczan i ułożył na nim, wyciągając zimne prawie już nogi kretyna, poprawiając głowę i ręce z takim staraniem, jak matka do snu dziecko swe tuląca.

– Wszystko już na nic, on umiera! – odezwał się po chwili.

Stara kobieta, trzymając ręce na biodrach, spojrzała na konającego i kilka łez stoczyło się po jej policzkach. Genestas sam siedział milczący, nie mogąc zrozumieć, dlaczego śmierć tej nic nieznaczącej istoty robiła na nim tak silne wrażenie. Instynktownie prawie dzielił bezgraniczną litość, jaką te nieszczęśliwe stworzenia wzbudzają w mieszkańcach tych pozbawionych słońca dolin, gdzie ich natura rzuciła. Czyż to uczucie, które się stało niemal przesądem religijnym w rodzinach mających pośród siebie kretynów, czyż to uczucie nie pochodzi od najpiękniejszej cnoty chrześcijańskiej, miłosierdzia i najpotrzebniejszej w budowie społecznej wiary w życie przyszłe i nadziei nagrody za nędzę i cierpienia doczesne, na które nad tę nadzieję nie masz skuteczniejszego balsamu. Ona to umacnia rodziców owych biednych istot i tych, co je otaczają, w pielęgnowaniu ich i ciągłym, niezmordowanym opiekowaniu się nimi, co tego poświęcenia ani zrozumieć, ani odwdziżyć nie mogą. Ludność tych miejscowości, gdzie się znajdują kretyni, wierzy, iż obecność ich przynosi szczęście rodzinom, a wiara ta osładza biednym istotom życie, które w miastach byłoby poddane rygorowi źle zrozumianej filantropii i twardym przepisom szpitali. W górnej dolinie Izery kretyni (a jest ich tam najwięcej) żyją na wolnym powietrzu wraz z trzodami, których pilnują. Przynajmniej są swobodni i szanowani, jak się to nieszczęśliwym należy.

Od pewnego już czasu, dzwon wiejskiego kościołka dźwięczał z wolna w równych odstępach oznajmiając wiernym śmierć jednego z nich, a słabe echo tej pobożnej myśli dochodząc do chatki kretyna rozlewało w niej słodką jakąś, poważną melancholię. Wkrótce szelest stąpań po drodze dał się słyszeć, stąpań licznych; śnać tłum szedł duży, ale milczący. A potem śpiewy pobożne zabrzmiały w powietrzu, te śpiewy, co najmniej nawet wierzące dusze zdolne są przejąć wzruszeniem. **Kościół** przychodził z pomocą tej istocie, która go wcale nie знаła. Na progu ukazał się ksiądz poprzedzony przez chłopca krzyż niosącego; z tyłu szedł zakrystyan z wodą święconą, a dalej mnóstwo kobiet, starców i dzieci, którzy przyszli wszyscy, by modły swe z modłami kościoła połączyć. Lekarz i wojskowy spojrzeli po sobie w milczeniu i usunęli się na bok robiąc miejsce przybyłym, którzy pokłękali w izbie i przed chatą. Na wszystkich prawie twarzach malowało się głębokie rozrzewnienie i łzy płynęły po ich zgrubiałych od słońca i ciężkiej pracy policzkach, podczas gdy ksiądz odprawiał święty obrządek religijnego pożegnania i przebaczenia dla istoty, która nigdy nie zgrzeszyła. A ten żal, to rozrzewnienie, jakie chwila ostatecznego rozstania z biednym tym stworzeniem budziła, było

całkiem naturalne, bo wszyscy dokoła zgromadzeni byli mu dobrowolnie pokrewni. Była-to jedna wielka rodzina, w której każde chłopię darzyło go troskliwością ojca, każda swawolna dziewczeczka czułością matki.

– Już skończył – ozwał się wreszcie ksiądz.

Słowa te wielkie wrażenie na obecnych wywarły. Zapalono gromnice; niektórzy chcieli noc przy zwłokach przepędzić. Benassis i gość jego wyszli. Przy drzwiach kilku wieśniaków zatrzymało lekarza mówiąc: – Ach! panie doktorze, widocznie Bóg chciał go już do siebie powołać, skoroś go pan uratować nie mógł.

– Zrobiłem wszystko, com mógł, moje dzieci! – odparł Benassis – a gdy minęli opuszczoną wioskę, której ostatni mieszkaniec skonał przed chwilą, zwrócił się do komendanta mówiąc:

– Nie przypuściłbyś pan nigdy, jak wielką pociechą są dla mnie słowa tych ludzi. Dziesięć lat temu o mało co nie zostałem ukamienowany przez mieszkańców tej wioski dziś pustej, a podówczas przeszło trzydzieści rodzin liczącej.

Genestas ruchem i wyrazem twarzy tak żywą wyraził ciekawość i tak pytająco spojrzął na lekarza, że ten czyniąc zadość jego niemiej prośbie opowiedział mu w drodze następującą historię:

– Kiedym tu przybył, zastałem w tej oto części kantonu – tu odwrócił się wskazując ręką na rozwalone chaty – przeszło dwunastu kretynów. Położenie tej wioski w miejscu wgłębionym, pozbawionym przeciągu powietrza i dobroczynnych promieni słońca, które tylko wierzchołek góry oświeca, bliskość strumienia ze stopniałych śniegów utworzonego, wszystko to przyczynia się do rozpowszechnienia tej strasznej choroby. Prawa nie wzbraniają związków płciowych tym nieszczęśliwym, pielęgowanym tutaj z zabobonną troskliwością, o której nie miałem pojęcia, którą potępiałem z początku, a którą teraz uwielbiam. Tym jednak sposobem kretynizm byłby się ztąd aż na całą dolinę rozprzestrzenił. Trzeba było koniecznie położyć tamę tej moralnej i fizycznej zarazie, ale przedsięwzięcie takie, acz prawdziwem dobrodziejstwem dla tych okolic będące, mogło grozić utratą życia temu, ktoby je w czyn wprowadzić zamysłał. Tutaj, jak i we wszystkich innych warstwach społeczeństwa, chcąc zmienić dotychczasowy porządek rzeczy, potrzeba było wypowiedzieć walkę już nie interesom społecznym, ale czemuś stokroć trudniejszemu do przerobienia, bo wyobrażeniom religijnym przeistoczonym w zabobon, w tę najtrwalszą, najbardziej niepożyłą formę ludzkich przekonań. Nie straciłem jednak odwagi. Starałem się naprzód uzyskać urząd mera kantonu, a otrzymawszy takowy i nadto zbrojny ustnem zezwoleniem prefekta rozkazałem przesiedlić nocą kilku z tych nieszczęśliwych do Sabaudyi, gdzie ich jest wielu i gdzie się z nimi bardzo dobrze obchodzą. Jak tylko wieść o tém rozeszła się po okolicy, ludność tutejsza najżywszą ku mnie zapalała nienawiścią. Proboszcz z ambony przeciwko mnie kazał. Pomimo że usiłowałem wytłómaczyć najinteligentniejszym umysłom miasteczka, jak dalece wydalenie kretynów było dla nich dobrodziejstwem; pomimo że leczyłem darmo wszystkich chorych: nie mogłem uśmierzyć coraz wzrastającej niechęci, która doszła do tego stopnia, że strzelono raz do mnie pod lasem. Pojechałem do biskupa Grenobli, prosząc o zmianę proboszcza. Jego ekscelencya był tak łaskawym, że pozwolił mi wybrać sobie księdza, który-by mógł współdziałać ze mną w wykonaniu zamierzonego celu; jakoż udało mi się znaleźć jedną z tych dusz podniosłych, co się prosto z nieba zesłane zdają. Pracowaliśmy wspólnie dalej nad oświeceniem umysłów, a po niejakiem czasie kazałem znów wywieźć nocą sześciu kretynów. Już wtedy miałem za sobą kilku wdzięcznych za wyleczenie pacjentów i członków rady miasta, których skąpstwo zdołałem wyzyskać na moję korzyść, przedstawiając im, jak kosztownem było utrzymanie tych nieszczęśliwych istot i ile-by miasto zyskało, gdyby przyłączono do niego grunta bez żadnego prawa w posiadaniu kretynów będące. Bogaci trzymali ze mną; ale biedni, stare kobiety, dzieci i kilku upartych byli mi wciąż nieprzyjaźni. Na nieszczęście, nie dopatrzone się, przy ostatniem wywożeniu kretynów, że jeden z nich nie wrócił na noc do domu, a nazajutrz znalazł się sam już tylko w wiosce zamieszkanj przez kilka jeszcze rodzin, których członkowie acz prawie całkiem umysłowo zniedołężnieli, nie podlegali jednak kretynizmowi. Pragnąc zupełnie skończyć, com zaczął, poszedłem w biały dzień w urzędowym stroju, by uprowadzić tego biedaka.

Zaledwie wyszedłem z domu, już wiedziano, gdzie dążę; przyjaciele kretyna wyprzedzili mnie i gdy stanąłem przed chatą, znalazłem tam liczne zgromadzenie kobiet, starców i dzieci, które przyjęło mnie obelgami i gradem kamieni. Byłbym może padł ofiarą wściekłości rozdrażnionego tłumu, gdyby nie ów kretyn! On mnie wyratował, ukazując się nagle we drzwiach jakby dowódca tych zagorzalców i wydając niezrozumiale bełkotliwe krzyki. Na jego widok uciszono się, a ja korzystając z tego, postanowiłem wejść z gromadą w układy. Widząc, że stronnicy moi nie śmieliby mnie jawnie w tym razie popierać, że z drugiej strony przesądni ci ludzie będą zaciekle obstawać przy zachowaniu ostatniego swego bożyszczka, musiałem wyrzec się myśli odebrania im téj puścizny. Obiecałem więc zostawić kretyna w chacie, pod warunkiem, że nikt się do niej zbliżać nie będzie i że mieszkańcy wioski przesiedlą się na drugi brzeg rzeki do miasteczka i nowych domów, które im zbudować przyrzekłem, dołączając do nich grunta, za co mi gmina później zapłacić miała. I cóż pan powiesz, potrzeba mi było pół roku do zwalczenia oporu, z jakim się wykonanie tego układu korzystnego dla tych biedaków spotkało. Moc, z jaką chłop przywiązuje się do swojej lepianki, jest dla mnie niepojętą. Więcej on ceni najędzniejszą chatynę, niż milionowy bankier wspaniałe swoje pałace. Czemu to przypisać? sam nie wiem. Może uczucia są tém silniejsze, im rzadsze? Może człowiek, który mało żyje duchowo, żyje więcej materyalnie; a im mniej tych materyalnych dóbr posiada, tém bardziej się do nich przywiązuje. Może wreszcie z wieśniakiem jest-to samo, co z więźniem... nie mogąc rozpraszać sił duszy swojej, skupia je w jednym tylko kierunku i tym sposobem do wielkiej potęgi uczucia dochodzi. Lecz, wybacz pan te uwagi człowiekowi, który rzadko przed kim wywnętrzyć się może, i nie myśl, bym się bardzo oderwanymi myślami zajmował. Tu wszystko musi być w praktyce, w czynie. Niestety! im mniej ludzie są rozwinięci, tém im trudniej własne swoje dobro zrozumieć. Ja-m téż postanowiłem nie zrażać się niczém. Każdy z nich powtarzał mi jedno i to samo, i wyznać muszę, że to była rzecz bardzo rozsądna, na którą odpowiedzi znaleźć nie mogłem: – Ach panie merze! mówili mi – jakże się mamy przenosić, kiedy jeszcze domów nie ma. – To téż – odpowiadałem im – żądam od was tylko przyrzeczenia, że je zamieszkacie, gdy skończone zostaną. Na szczęście, za mojem staraniem przysądzono miasteczku na własność całą tę górę, u stóp której leży pusta teraz wioska. Sprzedawszy zarastające ją lasy, mogłem za te pieniądze nabyć grunta i dokończyć budowę obiecanych domów. A gdy tylko jedna rodzina przeniosła się do nowego mieszkania, inne wnet poszły za ję przykładem. Dobrobyt, jaki z téj zmiany wyniknął, był aż nadto widoczny, by przekonać tych nawet, co się najuparciej swoich ciemnych bezsłonecznych nor trzymali. Ta okoliczność i nadanie miastu przez radę państwa prawa własności do owęj góry i otaczających ją gruntów, co, jak powiedziałem, na mojem się stało, ustaliło moję przewagę w kantonie. Ale ileż to pracy! ile trudów kosztowało! – mówił lekarz zatrzymując się i podnosząc rękę, którą z wymownym ruchem opuścił. Ja sam tylko wiem, jak daleko z miasteczka do prefektury, z której nic nie wychodzi, i od prefektury do rady państwa, do której nic nie wchodzi. Ale, póki niech będzie władzom tego świata, wysłuchały moich życzeń, to i tak wiele! O! gdybyś pan wiedział, ile dobrego zrobił jeden podpis niedbale na papier rzucony... Już w dwa lata po tém, jak się na te wielkie małe-rzeczy porwałem, wszystkie te rodziny posiadały przynajmniej po dwie krowy, które pasły się na górze, gdzie nie czekając pozwolenia rady państwa, zaprowadziłem irygacye na wzór tych, jakie się znajdują w Szwajcaryi, Owernii i Limuzynie. Ku wielkiemu podziwieniu mieszkańców miasteczka góra pokryła się bujnymi łąkami, a krowy dzięki lepszej paszy znacznie więcej mleka dawać zaczęły. Wszyscy jęli naśladować moje irygacye. Bydło, łąki i wszystkie produkty ulepszały się i mnożyły. Odtąd mogłem już bez obawy pracować nad użyznieniem téj nieuprawnej jeszcze ziemi i nad oświeceniem bardziej od niej zaniedbanych umysłów ję ludności. Otóż rozgadałem się na dobre, ale widzisz pan, my samotnicy jesteśmy bardzo rozmowni; gdy nam kto zada pytanie, musi się przygotować na to, że prawie końca odpowiedzi nie będzie. Kiedym tu przybył, zastałem tylko siedmuset mieszkańców, teraz ich do dwóch tysięcy rachują. Zajście z ostatnim kretynem zjednało mi szacunek ogółu. Dzięki mojej stanowczości połączonej przeciw z wyrozumiałością, stałem się wyrocznią kantonu. Robiłem wszystko, co mogłem, by sobie zyskać zaufanie tych ludzi, nie pokazując

wszelako, że go pragnę, i dopiąłem celu. Mają oni dla mnie jak największy szacunek zaskarżony tym, że starałem się dopełniać wszystkich względem nich zobowiązań, choćby nawet najbliższych. Przynależeli im wziąć pod opiekę tego biedaka, który przy panu skończył, czuwałem nad nim więcej i lepiej niż ci, co mu wprzód rodziców zastępowali. Był on żywiony i pielęgnowany jak przybrane dziecko gminy. Później, mieszkańcy ocenili przysługę, jaką im mimo ich woli oddałem. Niezależnie od tego, zachowali oni jeszcze trochę dawniej zabobonności, której nie ganię; owszem, ta cześć, jaką mieli dla kretyna, posłużyła mi nieraz do zachęcenia ich w niesieniu pomocy nieszczęśliwym. Ale otóż i jesteście – dodał po pewnej przerwie, ujrzawszy dach swego domu.

Widocznym było, że nie spodziewał się i nie żądał żadnych pochwał ni dzięk od swego słuchacza, lecz, że opowiadając mu ten ustęp ze swego publicznego życia, ulegał raczej dobroduszej potrzebie wywnętrzania się, jakiej doznają ludzie w odosobnieniu od świata żyjący.

– Pozwoliłem sobie umieścić konia w pańskiej stajni – rzekł komendant – ale sądzę, że mi pan tego za złe nie weźmiesz, gdy go o celu mojej podróży powiadomię.

– Ach! a ten jest? – zapytał Benassis jakby budząc się z zadumy i przypominając sobie dopiero, że jego towarzysz był mu zupełnie obcy. – On idąc za popędem swój szczerzej wylaną natury, przyjął Genestas jak dobrego znajomego.

– Słyszałem o cudownym prawie wyzdrowieniu pana Gravier'a z Grenobli, którego pan u siebie leczyłeś – odparł wojskowy. – Przybywam tu w nadziei, że mi pan tychże samych starań udzielić zechcesz, choć do nich żadnych praw dotąd nie mam, ale może na nie zasłużyć. Jestem stary żołnierz, któremu dawne rany pokoju nie dają. Potrzeba panu będzie przynajmniej tygodnia na zbadanie dokładnie stanu mego, bo cierpienia moje tylko od czasu do czasu mi dokuczają i...

– I owszem – przerwał Benassis. – Pokój pana Gravier'a jest wolny, możesz go pan zająć.

Domawiając tych słów otworzył drzwi domu z żywością, którą Genestas przypisał uradowaniu z pozyskania pacyenta.

– Jacento! – zawołał Benassis – ten pan będzie ze mną obiadował.

– Wybaczysz pan – rzekł Genestas – ale czy nie wypadałoby nam ułożyć się wprzód o cenę.

– O cenę czego? – zapytał lekarz.

– Mego utrzymania. Nie możesz pan przecież żywić mnie i mego konia, lecz...

– Jeżeli pan jesteś bogatym, zapłacisz mi dobrze – odparł Benassis – w przeciwnym razie nie chcę nic.

– Nic – rzekł Genestas – to mi się trochę za wiele wydaje. Ale tak, czym biedny, czy bogaty, przyjmiesz pan dziesięć franków dziennie, nie licząc tego, czém postaram mu się jego starania odwdzięczyć.

– Nic mi nie jest równie przykrém, jak branie pieniędzy za gościnność – odparł lekarz marszcząc brwi. – Co zaś do moich starań, te pan mieć je będziesz, jeżeli mi do serca przypadniesz. Bogaci nie mogą kupować mego czasu, bo ten do mieszkańców tej doliny należy. Nie pragnę sławy, ani majątku, a od moich chorych pochwał ani wdzięczności nie żądam. Pieniądze, które wezmę od pana, pójdą do aptekarzy w Grenobli na zapłacenie lekarstw niezbędnych dla chorych biedaków mego kantonu.

Każdy, słysząc te słowa wyrzeczone szorstko, ale bez goryczy, musiałby sobie tak jak Genestas powiedzieć w duchu: – To prawdziwie z kośćmi zacny człowiek ten Benassis.

– A więc – mówił komendant ze zwykłą sobie uporczywością – będę panu płacił dziennie po dziesięć franków, a pan z niemi zrobisz, co zechcesz. Mam nadzieję, że potem porozumiemy się lepiej – dodał, ujmując rękę lekarza i serdecznie ją w swojej ściskając – zobaczysz pan, że pomimo moich dziesięciu franków nie jestem Arabem.

Po tej utarczce, w której ze strony Benassisa nie było najmniejszej chęci okazania się wspaniałomyślnym i filantropijnym, mniemany chory wszedł do domu swego przyszłego doktora, gdzie wszystko odpowiadało zaniedbanemu wyglądowi bramy i ubioru właściciela. Gdzie-bądź się okiem rzuciło, wszędzie widniała najzupełniejsza obojętność na to, co niezbędnie potrzebnym do

życia nie było. Benassis poprowadził gościa przez kuchnię, jako najkrótszą do jadalnego pokoju drogą. Kuchnia ta, zakopcona jakby w jakiej oberży, była wszelako dosyć obficie w gospodarskie sprzęty zaopatrzoną, ale zbytek ten był dziełem Jacenty, dawniej służącej proboszcza, która zawsze wyrażała się o sobie i panu swoim w liczbie mnogiej i jak wszechwładna pani rządziła domem lekarza. Jeżeli nad kominem leżała czysta szkandela, to prawdopodobnie dlatego, że Jacenta lubiła zimą spać w ciepłym łóżku, a przy tej sposobności wygrzewała i prześcierała swego pana, który, jak mówiła, nigdy o niczym nie myślał. Benassis wziął ją do siebie dlatego właśnie, co w oczach wszystkich było by wadą nie do darowania.

Jacenta chciała być panią w domu, a Benassis pragnął znaleźć kobietę, która-by u niego przewodziła. Jacenta kupowała, sprzedawała, urządziła, zmieniała, stawiała i rozstawiała wszystko jak jej się tylko podobało, a pan jej nigdy sobie w tym względzie najmniejszej nawet uwagi nie pozwolił. Zawiadywała ona bez żadnej kontroli domem, stajnią, ogrodem, kuchnią, gospodarstwem, rządziła służącym i panem. Z jej rozporządzenia zmieniała się bielizna, robiło pranie, skupowały rozmaite zapasy. Ona wyrokowała o losie trzody, łąła ogrodnika, dysponowała obiadem i śniadaniem, chodziła z piwnicy na strych i ze strychu do piwnicy, urządzając wszystko według swojej woli i nigdzie żadnego nie spotykając oporu. Benassis żądał tylko dwóch rzeczy: – mieć codziennie obiad o szóstej, i nie wydawać więcej miesięcznie nad pewną zgóry oznaczoną sumę. Kobieta, która czuje, że jej wszystko ulega, jest zawsze wesoła; to też Jacenta śmiała się, poświstywała, nuciła i śpiewała od rana do nocy. Porządna z natury, utrzymywała wzorową w domu czystość. Gdyby nie to jej usposobienie, pan Benassis byłby bardzo nieszczęśliwym, mawiała ona, bo on nieborak tak na nic nie uważał, że mógłby jeść kapustę zamiast kuropatw i cały tydzień koszuli nie zmienić. Jacenta była niezmordowaną w składaniu bielizny, w trzepaniu mebli i kochała się formalnie w tym iście księżowskim porządku, najbardziej drobiazgowym, połyskliwym, najbardziej pachnącym, że tak powiem, z porządków. Nieprzyjaciołka kurzu, zmiatała, myła i prała bez ustanku. Oplakany stan bramy był dla niej prawdziwym utrapieniem. Od dziesięciu lat, co miesiąc wymagała na swoim panu obietnicę odnowienia tej nieszczęśliwej bramy, naprawienia murów i wogóle urządzenia wszystkiego *galanto*, ale miesiąc za miesiącem upływał, a pan na dotrzymanie słowa zdobyć się nie mógł. To też, Jacenta ubolewając nad niedbałością Benassisa powtarzała zawsze sakramentalne zdanie, którym zwykle pochwały jego kończyła: – Nie można niby powiedzieć, żeby był głupi, boć przecie prawie cuda w okolicy robi, jednakowo bywa czasami głupi, ale to taki głupi, że mu wszystko jak dziecku w rękę wetknąć trzeba. Jacenta przywiązana była do domu jak do swojej własności i nic dziwnego; przebywszy w nim dwadzieścia dwa lata miała pewne prawo czuć się tam jak u siebie. Gdy Benassis przybył do kantonu, dom ten był właśnie, po śmierci proboszcza, wystawiony na sprzedaż; kupił go więc wraz ze wszystkiemi, co do niego należało, z gruntami, meblami, sprzętami gospodarskimi, starym zegarem, koniem i służącą. Jacenta była wzorem kucharek. Mała, zwinna, o ręce pulchnej a nieleniwiej, pełne swe kształty obciskała zawsze stanikiem z brązowego w czerwone grochy cycu, tak wysnurowanym, że lękać się trzeba było, by nie pękł za najmniejszym poruszeniem. Na głowie nosiła okrągły marszczony czepeczek, pod którym twarz jej bladawa, o podwójnym podbródku, jeszcze bielszą się wydawała. Jacenta mówiła głośno i bezustanku. Jeżeli na chwilę umilkła i ujawszy róg fartucha podniosła go w kształcie trójkąta, było-to zapowiedzią długiego napomnienia, wystosowanego do pana lub lokaja. Ze wszystkich kucharek na świecie Jacenta była bezwątpienia najszcześniejszą. Nic jej nie brakowało; nawet zadowolenia próżności; całe bowiem miasteczko uważało ją za jakąś władzę pośrednią między merem a stróżem polowym.

Wchodząc do kuchni, Benassis nie zastał w niej nikogo.

– Gdzież oni są u dyabła? – powiedział, a zwracając się do Genestasa:

– Wybacz pan – dodał – iż go tędy wprowadzam. Główne wejście jest przez ogród, ale ja tak się odzwyczaiłem od przyjmowania gości, że... Jacento!

Na to wołanie, którego ton był niemal rozkazujący, głos kobiecy odpowiedział z głębi domu. W chwilę potem Jacenta wystąpiła zaczepnie wołając nawzajem Benassisa, a ten co-żywo do jadalnego pokoju pośpieszył.

– Otóż to, z panem to tak zawsze – poczęła. – Zaprasza pan gości na obiad nie uprzedziwszy mnie o tém, i zdaje się panu, że jak pan zawoła: – Jacento! tak ja wszystko z rękawa wytrąsnę. Albo i teraz. Może pan będzie tego pana w kuchni przyjmował? Trzeba przecie było otworzyć salon i kazać w piecu napalić. Już ja tam posłałam Mikołaja, aby wszystko urządził. Niech pan swego gościa zaprowadzi teraz do ogrodu, i pokaże mu szpalery przez nieboszczyka pana zasadzone, to go zabawi, jeżeli lubi ładne rzeczy, a ja tymczasem przyrządzę obiad, nakrycie...

– Dobrze – odparł Benassis. – Ale, widzisz, moja Jacento, ten pan będzie tu mieszkał czas jakiś. Nie zapomnij też zajrzeć do pokoju pana Graviera, czy tam wszystko w porządku, może prześcieradła...

– Cóż pan znów się będzie mieszał do prześcieradeł – przerwała Jacenta. – Skoro ma tu nocować, to ja sama wiem, co robić potrzeba. Pan od dziesięciu miesięcy nie wchodził do pokoju pana Graviera; to nie dziwota, że nie wie, co się w nim dzieje. Ale ja panu powiadam, że w nim nic nie brakuje, a czysto jak w mojem oku. Więc on tu będzie mieszkał, ten pan? – dodała ułagodnym głosem.

– Tak.

– Na długo przyjechał?

– Prawdziwie nie wiem. Ale co cię to obchodzi?

– Co mnie to obchodzi, powiada pan? – A! to dobre! co mnie to obchodzi! A któż będzie myślał o życiu, o wszystkiém, o...

Nie dokończywszy już tego gradu słów, którym w każdym innym razie byłaby zagłuszyła swego chlebowawcę, wymawiając mu brak zaufania, poszła za nim do kuchni. Domyślając się, że tu o jakiegoś pacyenta chodziło, chciała coprędzej zobaczyć Genestasa, któremu też, dygnawszy unizieniem, zaczęła się od stóp do głowy przyglądać. Twarz komendanta była w téj chwili zamyśloną i smutną, co jój szorstki wyraz nadawało; wysłuchał on całej rozmowy między służącą a panem, która mu w nie bardzo korzystném świetle tego ostatniego przedstawiła i z żalem zaczynał już tracić to wysokie wyobrażenie, jakie sobie o niez mordowanym tępiciele kretynizmu wyrobił.

– Wcale mi się ten jegomość nie podoba – zawyrokowała pocichu Jacenta.

– Jeżeli pan nie jesteś zmęczony – rzekł lekarz do mniemanego pacyenta – to może przeszlibyśmy się przed obiadem po ogrodzie.

– Chętnie – odparł komendant.

Minawszy pokój jadalny, weszli do ogrodu przez rodzaj przedpokoju oddzielającego jadalnię od salonu. Przedpokój ten z oszklonemi drzwiami przytykał do kamiennego tarasu, który front ogrodu przyozdabiał. Ulice wysadzone bukszpanem i przecinające się w kształcie krzyża dzieliły ogród na cztery równe, kwadratowe części, które opasywał szpaler grabowy, największa pociecha dawnego właściciela. Genestas usiadł na spróchniałej ławce, nie patrząc ani na altankę z winnej latorośli, ani na drzewa owocowe, ani na jarzyny, które Jacenta pielęgnowała troskliwie, wdrożona w to przez lubiącego dobre rzeczy księdza. Jego też dziełem był ten cenny ogródek, na który Benassis dość obojętném poglądał okiem.

Po chwili nic nie znaczącej rozmowy, Genestas zwrócił ją na poważniejsze tory.

– Jakim sposobem – zapytał – doszedłeś pan do tego, by w przeciągu dziesięciu lat potroić ludność téj doliny, która za pana przybyciem liczyła siedemset dusz, a teraz, jak pan mówisz, ma ich około dwóch tysięcy?

– Pan jesteś pierwszym, który mi to pytanie zadaje – odparł lekarz. – Wziąwszy sobie za cel rozbudzenie życia pod każdym względem na tym kawałku ziemi i ciągle tém zajęty, nie miałem nawet czasu do zastanowienia się nad sposobami, jakimi na podobieństwo tego żołnierza z bajki rosół z kawałka kija ugotowałem. Nawet pan Gravier, jeden z naszych dobroczyńców, którego miałem

szczęście wyleczyć, nie pomyślał o teorii zwiedzając wraz ze mną góry, by się skutkom praktyki przypatrzeć.

Nastąpiła chwila milczenia; Benassis zadumał się, nie zważając na przenikliwe spojrzenie komendanta, jakim ten zbadać go usiłował.

– Jak się to stało, mój drogi panie – ponowił – ha! po prostu na mocy tego prawa ekonomicznego o łączności między potrzebami, jakie sobie tworzymy, a sposobami zadawalniania tychże. Wszystko na tém polega. Ludy, które niewiele pragną, niewiele téż i mają. Kiedym przybył do miasteczka, liczyło ono sto trzydzieści rodzin, a w dolinie było ich około dwustu. Władze tutejsze, zgodnie z ogólną nędzą, składały się z mera, który nie umiał pisać, pomocnika daleko od gminy mieszkającego i z sędziego pokoju; ale ten wiedział tylko o pensyi, jaką pobierał, zdając całe urządowanie na pisarza, który prawie nie pojmował, co robi. Po śmierci dawnego proboszcza miejsce jego zajął wikary, człowiek bez żadnego wykształcenia. Tacy-to ludzie rządili tym kantonem i stanowili jego inteligencją. Na łonie téj pięknej natury, mieszkańcy tutejsi gnuśnieli w brudzie i błocie, żywiąc się kartoflami i mleczywem; jedynym przemysłem, jakim się trudnili i jaką-taką pieniężną korzyść zeń ciągnęli, było wyrabianie serów, które do Grenoble i po okolicy w małych koszykach roznosili. Najbogatsi lub najmniej leniwi sieli grykę, czasem owies i jęczmień na użytek miasteczka, ale zboża nie uprawiali wcale. Mer tylko posiadał tartak i skupywał za niską cenę drzewo, by je potem częściowo sprzedawać. Z powodu zupełnego braku dróg, musiał każdy kloc zosobna podczas lata przewozić, a raczój przeciągać z wielkim trudem za pomocą łańcucha przywiązanego do uździenicy koni, a zakończony hakiem żelaznym, który się w drzewo wbijał. Chcąc się dostać do Grenoble konno, albo pieszo, należało przejść całą górę; bo dolina zgoła dostępną nie była. Cała ta przestrzeń od pierwszej wioski kantonu aż dotąd, którą teraz tak porządny gościniec, jakim pan zapewne przybyłeś, przerzyna, była podówczas jedną wielką kałużą. Żaden wypadek polityczny, żadna rewolucya nie przeniknęła w ten niedostępny, całkiem po-za obrębem społecznego ruchu leżący, zakątek ziemi. Imię Napoleona tylko znane tu jest i powtarzane z czcią niemal religijną, dzięki kilku starym żołnierzom, którzy powrócili pod rodzinne strzechy i wieczorami opowiadają tym prostaczkom niestworzone dziwy o wielkim cesarzu i jego wojskach. Powrót ten jest zresztą niewytłómaczonym zjawiskiem. Przed mojem przybyciem młodzież tutejsza raz zaciągnięta w szeregi nie opuszczała ich więcéj, a fakt ten świadczy aż nadto o niedostatku i nędzy téj okolicy, bym je panu jeszcze opisywał. W takim-to stanie objąłem zarząd tego kantonu, do którego po-za górami należy kilka jeszcze gmin dobrze urządzonych, dość szczęśliwych, zamożnych niemal. Nie wspomnę panu nawet o domkach miasteczka, istnych chlewach, w których bydłęta i ludzie mieścili się razem. Wracając z la Grande-Chartreuse, przejeżdżałem tędy. Nie znalazłszy żadnej oberży, byłem zmuszony zanoć u wikarego, który mieszkał czasowo w tym domu, wystawionym podówczas na sprzedaż. Od słowa do słowa, dowiedziałem się o oplakany stanie téj miejscowości, której piękny klimat, wyborne grunta i naturalne produkty w podziw mnie wprawiły. Widzisz pan, ja-m wtedy usiłował stworzyć sobie inne życie, niż to, które dotychczas wiodłem i które mnie zgnębiło. I do serca zakolała mi wtedy jedna z tych myśli, które Bóg ludziom nieraz zsyła, by im znoszenie nieszczęść łatwiejszym uczynić. Postanowiłem zająć się tym krajem, jak nauczyciel wychowaniem dziecka. Ale nie bierz pan tego za jakąś wspaniałomyślność z mojej strony; nie, to był po prostu mój własny interes; potrzebowałem zajęcia, rozerwania myśli; chciałem resztę dni moich na spełnienie jakiegoś trudnego przedsięwzięcia poświęcić. Podnieść, oświecić, umoralnić ten kraj, który natura tak wzbogacała, a człowiek tak ubożył: to miało być zadaniem mego życia; a trudności, jakie w dojściu do zamierzonego celu widziałem, zamiast odstraszają, zachęcały mnie owszem. Kupiwszy dość tanio dom po proboszczu i obszerne a odłogiem leżące grunta, poświęciłem się obowiązkom lekarza wiejskiego, temu najostatniejszemu z powołań, o jakich człowiek w planach swojej przyszłości marzy. Pragnąłem stać się przyjacielem biednych, nie spodziewając się za to najmniejszej nagrody. O! bom ja się w żadne złudzenia nie bawił! ani co do charakteru tutejszych wieśniaków, ani co do przeszkód, jakie musi zwalczać każdy, kto ludzi i rzeczy chce poprawiać. Nie idealizowałem sobie

moich biedaków, ale przyjąłem ich takimi, jakimi byli, to jest widziałem w nich ludzi, nie zupełnie dobrych, ani też zupełnie złych, którym ciągle, ciężka praca nie dozwalała oddawać się uczuciom, ale którzy pomimo to, czasem, bardzo żywo i głęboko czuć byli w stanie. Wreszcie, pojmowałem nadewszystko to, że tylko dotykalnemi dowodami oddziaływać na nich mogę. Wszyscy wieśniacy są synami świętego Tomasza, niewiernego apostoła; zawsze im czynów na poparcie słów potrzeba.

– Będziesz się pan może śmiał, gdy mu powiem, jaki był początek tego trudnego dzieła – mówił dalej lekarz po chwilowym przestanku. – Zacząłem je od fabryki koszyków. Biedacy ci kupowali w Grenobli drabinki do suszenia serów i wogóle wszystkie sprzęty niezbędne do ich nędznego handelku. Podsunąłem jednemu z dosyć inteligentnych młodych ludzi myśl wydzierzawienia sporego kawałka gruntu wzdłuż strumienia leżącego, użyznianego corocznemi odsepami i na którym łożina dobrze się udawać mogła. Obrachowawszy, ile mniej-więcej kanton potrzebował na rok koszykarskich wyrobów, pojechałem do Grenobli, by tam jakiego umiejętnego, młodego a środków pieniężnych pozbawionego koszykarza wynaléźć. Gdym na takiego właśnie natrafił, skłoniłem go z łatwością do przeniesienia się tutaj obiecując, że mu będę kupować potrzebną do jego wyrobów ilość łożiny, dopóki mój plantator nie będzie jój mógł dostarczać. Namówiłem go także, by sprzedawał koszyki po cenach niższych niż w Grenobli, a wyrabiał je pomimo to lepiej. Skutki téj mojej koszykarsko-łożowej spekulacji ledwo po upływie lat czterech mogły się dać ocenić. Zapewne panu wiadomo, że dopiéro trzyletnia łożina zdatną jest do użytku. Jednakowoż koszykarz mój przetrwał pierwsze próby i dobrze mu się powodziło. Po niejakiem czasie pojął za żonę kobietę z Saint-Laurent du Pont, która mu nieco grosza w posagu przyniosła. Wtedy wystawił sobie dom w miejscu zdrowém, dobrze przewietrzaném, stosując się w tém jak i w rozkładzie całego budynku do moich wskazówek. Jakież-to był tryumf dla mnie! kochany panie. Założyłem tedy warsztat w miasteczku, sprowadziłem rzemieślnika i kilku robotników. Może pan nazwiesz to dzieciństwem, gdy mu powiem, że przez pierwsze kilka dni nie mogłem przejść koło sklepu mego koszykarza, by mi serce silniej nie zabiło. Gdym patrzył na ten dom nowy z pomalowanemi nazieleno okiennicami, a w progu jego kobietę porządnie ubraną, karmiącą zdrowego i tłustego dzieciaka, na tych robotników wesołych, śpiewających i pracujących ochoczo, których dozorował człowiek niegdyś biedny i wybladły, a teraz promieniejący szczęściem; wtedy, wyznaję, nie mogłem oprzeć się chęci stania się na chwilę koszykarzem i wchodziłem do sklepu, rozpytać się o wszystko, obejrzyć i nacieszyć się radością ich i swoją własną, której panu odmalować nie jestem w stanie. Dom tego człowieka, pierwszego, który mi zaufał, napenił mnie otuchą i nadzieją. Widziałem w nim przyszłość tego biednego kraju, który już w sercu nosiłem, tak jak żona mego koszykarza nosiła w łonie pierwsze swoje dziecko. Ale wiele, wiele mi jeszcze do zrobienia zostawało. Na każdym kroku spotykałem silny opór, a sprawcą jego głównym był mer, którego miejsce zająłem, a którego wpływ słabnął wobec mojego. Ale ja postanowiłem mieć w nim właśnie pomocnika i współnika moich planów. Tak, panie kochany, w téj-to głowie, najtwardszój ze wszystkich, spróbowałem pierwsze iskierki światła rozniecić. Wziąłem go na wędkę miłości własnej i osobistego interesu. Przez pół roku obiadowaliśmy wspólnie, a tym sposobem wtajemniczyłem go powoli w moje zamiary. Wielu zapewne widziałooby w téj przyjaźni z musu jedną z najprzykrzejszych stron mego zadania; ale człowiek ten był dla mnie cenném narzędziem, biada zaś temu, kto takimi narzędziami gardzi lub je niedbale odrzuca. Zresztą, czyżby to nie było wielką z mojej strony nieloicznością, gdybym chcąc ulepszać kraj, cofnął się przed ulepszeniem człowieka? Najbardziej naglącą ze wszystkich była potrzeba zbudowania dobrego gościńca. Gdybyśmy uzyskali na to pozwolenie od rady municypalnej, mój pomocnik pierwszy-by na tém skorzystał, nie potrzebowałby bowiem włóczyć pojedynczo kłoców po złych ścieżkach z takim kosztem i trudem, ale mógłby naraz znaczną ilość drzewa szeroką drogą przewozić, przedsięwziąć ten handel na wielką skalę i zarabiać nie już jakie nędzne sześćset franków do roku, ale okrągłe sumki, które-by mu kiedyś niezły mająteczek utworzyły. Tak przekładając merowi, trafiłem zupełnie do jego przekonania. Całą zimę chodził on sobie do karczmy zabawiać się kieliszkiem z przyjaciółmi i tam umiał wmówić w nasze władze, że dobry gościniec byłby źródłem zamożności dla kantonu, ułatwiając każdemu handel z

Grenoblą. Gdy rada municypalna uchwaliła wreszcie ten projekt; wyjednałem u prefekta pewną sumę na opłacenie transportów, których gmina dla braku wozów sama przedsięwziąć nie mogła. Wreszcie, by co prędzej to wielkie dzieło ukończyć i dać jak najrychlej możność ocenienia dobroczynnych jego skutków tym, którzy przeciwko mnie szemrali, mówiąc, że czasy pańszczyzny chcę przywrócić, przez cały pierwszy rok mojej administracji ściągałem co niedziela z dobrej woli lub z musu ludność miasteczka nie wyłączając kobiet, dzieci, a nawet starców na szczyt góry, gdzie sam wykreśliłem na doskonałym gruncie linię drogi, która od naszej wioski do gościńca Grenobli prowadziła. Na szczęście obfite materyały do budowania znajdowały się tuż pod ręką. To jedni, nieświadomi przepisów, odmawiali swego współdziałania, to znów drudzy, którym rzeczywiście brakowało kawałka chleba, nie mogli tracić dnia przy tej robocie; trzeba więc było tym dawać zboże, a tamtych przyjaznymi słowy ułagadzać. Jednakowoż, gdy już droga w dwóch trzecich częściach zbudowaną została, korzyści ztąd okazały się tak wielkie dla mieszkańców, że już ich do pracowania nad trzecią zachęcać nie trzeba było i skończyli ją z gorliwością, która mnie w podziw wprawiła. Chcąc wzbogacić przyszłość gminy, obsadziłem z obydwóch stron drogę podwójnymi rzędami topoli. Dziś drzewa te stanowią znaczny kapitał i nadają pozór szosowej drogi naszemu gościńcowi, który dzięki naturze gruntu i swemu położeniu jest prawie zawsze suchy, a tak dobrze zbudowany, iż utrzymanie go zaledwie dwieście franków rocznie kosztuje. Muszę go panu pokazać, boś go widzieć nie mógł. Zapewne przybyłeś pan tu drogą dolną, którą mieszkańcy już z własnego popędu przed trzema laty zbudowali dla ułatwienia komunikacji z rozmaitemi zakładami, jakie się podówczas w dolinie organizować zaczęły. Tak tedy, to miasteczko, niegdyś zupełnie umysłowego rozwinięcia pozbawione do tego stopnia, że pięć lat temu mogło się zdawać niepodobieństwem rozniecić w niem jakąś iskierkę inteligencji, zdolne było po upływie trzech lat zaledwie do przedsięwzięcia samodzielnych, rozsądnych planów. Ale idźmy dalej. Warsztat mego koszykarza okazał się zachęcającym przykładem dla biednej ludności kantonu. Prócz zbudowania drogi, tego najsilniejszego środka podniesienia dobrobytu miasteczka, potrzeba było także wprowadzić w ruch przemysł i rzemiosła. Dopomagając memu plantatorowi łożyny, zachęcając koszykarza, pilnując ukończenia gościńca, pracowałem jednocześnie nad dalszym rozwinięciem mego dzieła. Miałem dwa konie; mój pomocnik, ów dawny mer, handlujący drzewem miał ich trzy, a nie było ich komu podkuwać, trzeba było jeździć po to do Grenobli. Zachęciłem tedy kowala, znającego się trochę na weterynarstwie, by się tu osiedlił, i obiecywałem mu, że roboty dużo mieć będzie. Tegoż dnia trafiłem na starego żołnierza, który nie wiedział co z sobą zrobić, nie mając nic prócz stu franków emerytury; a że umiał czytać i pisać, dałem mu miejsce sekretarza merostwa; wkrótce trafem znalazłem mu żonę i tak najgorętsze jego marzenia się spełniły. Potrzeba było domów dla tych dwóch nowych przybyszów jak również dla dwudziestu dwóch rodzin, które wioskę kretynów opuściły. Prócz tego dwanaście innych rodzin, producentów i konsumentów, przybyło się tutaj osiedlić: byli-to mularze, cieśle, dekarze, stolarze, ślusarze i szklarze, którzy tu wszyscy robotę, i to na długo, znaleźli, potrzebowali zatem domów dla siebie, sprowadzili ze sobą robotników. W ciągu drugiego roku mojej administracji, gmina powiększyła się o siedemdziesiąt nowych domów. Powiększając ludność miasteczka, stworzyłem w niem jednocześnie mnóstwo potrzeb nieznanych dotąd tym biedakom. Potrzeby zaś zrodziły przemysł, z przemysłu wypłynął handel, z handlu zarobek, z zarobku dobrobyt, a z dobrobytu pożyteczne myśli i pragnienia. Moi robotnicy chcieli mieć chleb dobrze upieczony; sprowadziliśmy więc piekarza. Teraz gryka nie mogła już być wystarczającym pożywieniem dla ludzi, którzy otrząsnęli się z poniżającej ociążałości i do życia czynnego zabrali. Chciałem ich naprzód do jedzenia żyta przyzwyczaić i zwolna dojść do tego, by kiedyś w rękę najuboższego nawet chłopca kawałek pszennego chleba zobaczyć. Dla mnie bowiem, postępy moralne są z materyalnemi w najściślejszym związku i śmiało twierdzę, że okolica, w której rzeźnik ma co do roboty, jest równie zamożną jak inteligentną. Kto pracuje, ten je; kto je, ten myśli. Przewidując, że nadejdzie pora, w której uprawa pszenicy stanie się konieczną, zbadałem dokładnie gatunek gruntu i przyszedłem do przekonania, że rolnictwo zakwitłoby tutaj i wpłynęło na pomnożenie ludności, gdyby tylko ta ludność wzięła się do pracy w tym kierunku. Pora przewidywana nadeszła. Pan Gravier

z Grenoble miał tu grunta, które leżały odłogiem, ale pod uprawę zboża najzupełniej były zdadne. Jak panu wiadomo, jest on naczelnikiem jednego z oddziałów prefektury. Po części z przywiązania do kraju, a po części zwyciężony mojemu naleganiom, czynił nieraz zadosyć moim żądaniom; w tym razie także udało mi się przekonać go, że przyczyniając się do podniesienia dobrobytu gminy, sam na tym wiele skorzysta. Zobowiązałem się w razie, gdyby poniósł jakieś straty w tym przedsięwzięciu, do którego go namawiałem, a od którego żona jego, bardzo ograniczona kobieta, odciągnąć go usiłowała, zabezpieczyć je na własnym moim majątku, i wreszcie po długich prośbach, naleganiach i rozprawach dopiąłem swego. Pan Gravier zgodził się założyć tutaj cztery fermy, po sto morgów każda, i obiecał zaforszować pieniądze potrzebne na wykarczowanie gruntu, zakup nasion, narzędzi rolniczych, bydła i t. d. Ja z mojej strony założyłem dwie fermy, tak dla użytkowania moich gruntów jak dla obznajmienia wieśniaków, na przykładzie, z pożytecznymi ulepszeniami tegoczesnego rolnictwa. W przeciągu kilku tygodni w miasteczku przybyło trzystu mieszkańców. Założenie sześciu ferm, wykarczowywanie gruntów, a następnie ich uprawa wszystko to wymagało umiętnych a licznych robotników. Kołodzieje, kopacze, czeladnicy, napływali ze wszystkich stron. Drogę do Grenoble wypełniały wozy; piesi przechodnie mijali się ciągle dążąc tam i napowrót. Był to ogólny ruch w całym kraju. Odrętwienie znikło, życie budziło się, drgało wszystkimi tętnami. A teraz parę słów, by skończyć z panem Gravierem. Pomimo nieufności dość naturalnej u obywatela z prowincji i biuralisty, wyłożył przeciw z góry, opierając się jedynie na moich obietnicach, około czterdziestu tysięcy franków. Dziś, każda z jego ferm wydzierżawioną jest za tysiąc franków rocznie, a dzierżawcy tak dobrze umieli interesa swoje poprowadzić, że każdy z nich posiada przynajmniej sto morgów gruntu, trzysta owiec, dwadzieścia krów, dziesięć wołów, pięć koni i około dwudziestu ludziom chleb i zajęcie u siebie daje. A teraz idę dalej. W czwartym roku mojej administracji fermy ukończone zostały. Mielśmy tak olbrzymie zbiory zboża, jakich się tylko po tej żyznej, dziewiczej roli spodziewać było można, a które w podziw wprawiły mój lud. Ale jak ja się przez ten rok cały bałem o moje dzieło! Deszcze lub susze mogły zniweczyć wszystko, zmniejszając ufność, jaką już sobie zdobyłem. Uprawa zboża pociągnęła za sobą potrzebę młyna, który pan widziałeś, a który mi około pięciuset franków rocznie przynosi. To też wieśniacy mówią o mnie wyrażając się po swojemu, że **mam szczęśliwą rękę**, i wierzą we mnie jak w relikwie. Budowa młyna, zakładanie ferm, plantacyj, dróg dostarczały ciągłej roboty rzemieślnikom, których tu ściągnąłem. Wszystkie te innowacje kosztowały nas wprawdzie przeszło sześćdziesiąt tysięcy franków, ale przyniosły nam i przynoszą dochody, pokrywające w zupełności wydatki. Nie ustawałem ani na chwilę w dmuchaniu na roznieconą iskierkę przemysłu. Za moją poradą, ogrodnik, utrzymujący szkółkę, osiedlił się w miasteczku, gdzie namówiłem najbiedniejszych do hodowania drzew owocowych, w celu zapewnienia sobie z czasem monopolu na sprzedaż owoców w Grenoble. Nosicie tam séry – mówiłem – dlaczegoż nie mielibyście nosić drobiu, jaj, jarzyn, zwierzyny, siana, słomy. Każda z tych insynuacji była źródłem zamożności dla tego, kto jej posłuchał. Utworzyło się więc mnóstwo małych zakładów, których postępy wolne z początku coraz szybszemi się stawały, każdego poniedziałku przeszło sześćdziesiąt worków napełnionych rozmaitemi produktami ciągnie ztąd do Grenoble; więcej się teraz zbiera gryki dla karmi drobiu, niż jęj dawniej na wyżywienie ludzi siano. Handel drzewem rozszerzył się także ogromnie i na kilka części podzielił. Już w czwartym roku naszej ery przemysłowej mieliśmy handlarzy drzewa opałowego, desek, kory i węgla. Powstało cztery nowe tartaki do piłowania tarcic. Dawny mer, nabywszy trochę handlowych wiadomości, uczuł potrzebę nauczania się czytać i pisać. Porównywając ceny drzewa w rozmaitych miejscowościach, zauważył tak wielkie różnice na korzyść swojej spekulacji, że sobie tu i owdzie nowe praktyki potworzył i teraz prawie z połową departamentu handel prowadzi. Ruch wywozowy tak raptownie wzrósł u nas, że dwóch kołodziejów i trzech rymarzy ledwo wystarczyć mogą robocie, choć każdy z nich przynajmniej po trzech chłopców ma do pomocy. Wreszcie zużywamy tyle żelaza, iż rzemieślnik wyłącznie żelaznymi wyrobami się trudniący osiedlił się w miasteczku i dobrze mu tam idzie. Chęć zysku obudza ambycją i współzawodnictwo; dzięki tym bodźcom przykład miasta oddział na cały kanton, z kantonu

na departament. Wkrótce potrzebowałem już tylko wskazywać moim pracownikom nowe środki zarobku; ich rozsądek dokonywał reszty. Cztery lata starczyły na zmienienie powierzchowności miasteczka. Gdym je pierwszy raz przebywał, cisza prawie grobowa zalegała ulice; na początku piątego roku, wszystko tam wrzało życiem. Wesołe śpiewy, hurkot warsztatów, głuche lub ostre odgłosy rozmaitych narzędzi jak najmiłsza muzyka obijały się o moje uszy. Patrzyłem na ludność zdrową snującą się po mieście czystym, świeżo zabudowanym, obsadzone drzewami. Na wszystkich twarzach malowało się zadowolenie, jakie użytecznie pędzone życie wytwarza.

– To pięciolecie jest w moich oczach pierwszą epoką dobrobytu miasteczka – mówił dalej lekarz po chwilowym milczeniu. – Przez ten czas wykarczowałem wszystko i wszystko zasiałem co należało, tak w umysłach jak w roli. Ruch postępowy ludności i przemysłu nie mógł już odtąd ustać. Następowala druga epoka. Wkrótce mój ludkę zapragnął ubierać się lepij. Przybył nam kramarz, a z nim szewc, krawiec i kapelusznik. Za tym zbytkiem stroju poszła i wykwinność w jedzeniu; postaraliśmy się o rzeźnika i kupca korzennego. Niezadługo sprowadziłem akuszerkę, która mi bardzo była potrzebną, bo wiele czasu przy słabościach kobiet traciłem. Wykarczowanie gruntu dawało obfite plony, a użyźnianie nawozami, których było podostatkiem, przyczyniło się do polepszenia i tak już dobrego gatunku ziarna. Wtedy-to mogłem rozwinąć w całej pełni swoją działalność. Oczyszcivszy domy, przyprowadziwszy stopniowo mieszkańców do lepszego żywienia się i odziewania, zapragnąłem, by i zwierzęta odczuły dobroczynne dopływy cywilizacji. Od staranniej hodowli bydła zależy piękność ras i osobników i w imię tego zacząłem na assenizację obór nastawać. Wykazując właścicielom, jak dalece większe korzyści przynosi bydło dobrze karmione i czysto utrzymane, wprowadziłem nieznacznie radykalne zmiany w dotychczasowym obchodzeniu się ze zwierzętami. Chędożono woły i krowy, jak się to w Szwajcaryi i Owegnii dzieje. Owczarnie, stajnie, obory zostały przebudowane na wzór moich i pana Gravier'a zabudowań, a te są obszerne, dobrze przewietrzane, a tém samém zdrowe. W fermach naszych mieliśmy apostołów, którzy nawracali prędko niedowiarków, wykazując im dotykalmi dowodami racjonalność moich przepisów. Biedniejszym zwłaszcza przemysłowcom pożyczalem pieniędzy. Stosownie do moich rad posprzedawano bydłeta zdefektowane i cherlające, a zastąpiono je pięknymi okazami. To też w krótkim czasie produkta nasze odniosły na targach zwycięstwo nad produktami innych gmin. Mieliśmy przepyszne trzody, a ztąd doskonałe skóry. Postęp-to był wielkiej doniosłości. W gospodarstwie wiejskiem nie ma takiej rzeczy, z której-by się jakiejś korzyści wyciągnąć nie dało. Dawniej korę sprzedawano prawie za bezcen, a skóry wielkiej wartości nie miały, ale raz ulepszone oba te produkty dały nam możność założenia garbarni i rozwinięcia handlu w tym kierunku. Wino, niegdyś nieznanne w miasteczku, gdzie pito tylko nędzną lurę, stało się z czasem potrzebą; pootwierano karczmy. Z czasem najdawniejsza z nich powiększyła się, zamieniła w oberżę i dostarczała noclegu i mułów podróżnym, którzy coraz częściej naszym gościem do la Grande-Chartreuse jeździć zaczęli. Od dwóch lat ruch handlowy tak się powiększył, że dwóch oberżystów może się dzięki jemu utrzymać. Na początku drugiej naszej ery umarł sędzia pokoju. Szczęściem dla nas, miejsce jego zajęli były notaryusz, który zrujnowawszy się w źle obmyślonych spekulacjach, miał jednak dosyć jeszcze pieniędzy, by się na wsi módz nazwać bogatym. Namówiony przez pana Gravier'a osiedlił się tutaj; zbudował sobie ładny dom, poparł moje usiłowania swojemi, założył fermę, wykarczował kawał ziemi i dziś trzy szałety na górze posiada. Oddalił dawnego pisarza i woźnego zastępując ich ludźmi o wiele wykształceńszemi, a zwłaszcza nie leniacemi się pracować. Jeden z nich założył tutaj gorzelnię, drugi pralnię wełny, i oba po za swemi obowiązkami z korzyścią dla siebie te pożyteczne przedsiębiorstwa prowadzą. Przysporzywszy dochodów gminie, mogłem ich bez żadnego oporu użyć na zbudowanie magistratu, w którym pomieściłem szkołkę bezpłatną i elementarnego nauczyciela. Spełnienie tego ważnego obowiązku poruczyłem biednemu, „przysięgłemu” księdzu, którego cały departament się wyrzekł, a który znalazł u nas schronienie na stare lata. Przełożona szkołki jest bardzo zacną kobietą; straciwszy całe swoje mienie nie wiedziała, jak sobie radzić; przyszliśmy jój z pomocą i oto teraz założyła pensyjkę, gdzie bogatsi fermerzy z okolicy posyłają swoje córki.

Dotąd miałem prawo opowiadać panu dzieje tego zakątka ziemi w moim imieniu; to, co następuje dalej, jest już w połowie dziełem nowego proboszcza księdza Janvier, istnego Fenelona w małym zakresie, który umiał natchnąć ludność miasteczka duchem braterskości tworzącym z niej jakby jedną rodzinę. Pan Dufau sędzia pokoju, choć najpóźniej przybyły, zasługuje także na wdzięczność mieszkańców. Wreszcie, by panu przedstawić jasno obecne materialne położenie naszej gminy, posłużę się cyframi, wymowniejszemi od słów. Ma ona dziś dwieście morgów lasu i sto sześćdziesiąt morgów łąki. Nie posiłkując się niestałymi dochodami, płaci dodatkowej pensji proboszczowi sto dukatów, dwieście franków stróżowi polowemu, tyleż nauczycielowi i przełożonej szkółki; pięćset franków ma zawsze w zapasie na drogi, drugie pięćset na naprawy magistratu, plebanii, kościoła i inne pomniejsze wydatki. Za jakie lat piętnaście kapitał w drzewach leżący wzrośnie do stu tysięcy franków; gmina będzie mogła opłacać wszystkie podatki, nie biorąc na nie szeląga od mieszkańców, i stanie się jedną z najbogatszych gmin we Francji. Ale ja może pana nudzę? – zapytał przerywając sobie Benassis i spojrzął na Genestasa, który siedział w postawie tak dalece zamysłonej, że można ją było za roztargnienie poczytać.

– O, nie! bynajmniej! – odparł komendant.

– Ale – mówił dalej lekarz – handel nasz, przemysł, rolnictwo i odbyły tylko miejscowe. Doszedłszy pewnego stopnia, dalej-by się rozwijać nie mogły. Postarałem się więc o otwarcie biura pocztowego, o koncesję na sprzedaż tytoniu, prochu i kart; skłoniłem poborcę podatków, by zamiast mieszkać w jakiejś innej gminie przeniósł się do naszego miasteczka, które jest zarazem stolicą kantonu; rozbudziwszy potrzebę jakiejś nowej produkcji, starałem się ją zaraz w czyn wprowadzić, wpajałem we wszystkich poczucie własności; to też w miarę jak wzrastała zamożność, wykarczowywały się grunty, zakwitała uprawa roli, wznosiły się posiadłości. Biedacy, którzy przed moim przybyciem nosili pieszo sery do Grenoble, jeżdżą tam teraz porządnie furmankami, wożąc owoce, jaja, drób, jarzyny. Wszyscy nieznacznie zamożnieli. Do najbiedniejszych należeli ci, którzy się na uprawie ogrodu, hodowaniu jarzyn i owoców ograniczać musieli. Ale nie chcąc dać zgasnąć temu domowemu ognisku, trzeba go było bezustannie podsycać. Przemysł miasteczka nie był jeszcze tak wielki, by mógł utrzymać ruch handlowy, spowodować konieczność założenia magazynów, targu. Nie dosyć na tym, jeżeli kraj nic ze swego kapitału nie traci; dobrobyt jego nie wzrośnie, gdy ta suma pod postacią produkcji i konsumpcji przejdzie choćby przez najwięcej rąk. Nie, nie na tym rzecz polega. Skoro kraj jest już na tej stopie, że między jego zapotrzebowaniem a produkcją istnieje zupełna równowaga, wtedy chcąc podnieść zamożność ogółu, trzeba wejść w stosunki zamiany na zewnątrz, które-by mogły trwały stan czynny w jego handlowym bilansie zaprowadzić. Ta myśl przewodniczyła zawsze państwu pozbawionym terytoryalnej podstawy jak Tyr, Kartagina, Wenecja i skłaniała je do prowadzenia wywozowo-przywozowego handlu. Ja-m również chciał coś podobnego dla trzeciej ery pomyślności mojego kantonu utworzyć. Pomyślność ta, ledwo widoczna dla oczu przechodnia, bo miasteczko nasze podobne jest do wszystkich innych, była zadziwiająca tylko dla mnie samego. Mieszkańcy, biorąc czynny udział w tym postępowym ruchu, nie mogli go także ocenić. Po siedmiu latach traf zesłał mi dwóch cudzoziemców, którzy są teraz dobroczyńcami tej miejscowości i mogą ją z czasem w prawdziwe miasto zamienić. Jeden z nich jest-to Tyrolczyk, człowiek niesłychanie zręczny, który robi obuwie dla wieśniaków, a buty dla elegantów Grenoble, a robi je tak, jakby żaden szewc paryski nie potrafił. Był on zarazem wędrownym muzykantem, prawdziwym typem tych zabiegliwych Niemców, co to sztukę i rzemiosło jednocześnie uprawiać umieją. Przeszedł tak całe Włochy pracując i śpiewając i z powrotem zatrzymał się w naszym miasteczku. Gdy się zaczął rozpytywać, czyby kto nie potrzebował obuwia, przysłano go do mnie; jakoż obstałowałem u niego dwie pary butów, a zdziwiony zręcznością, z jaką zrobione zostały, wszedłem z nim w rozmowę; a jego jasne i rozsądne odpowiedzi, obejście się i powierzchowność, wszystko to złożyło się na potwierdzenie dobrego wyobrażenia, jakie o nim powziąłem. Zaproponowałem mu, by się osiedlił w miasteczku, przyrzekając, że go wszelkimi siłami popierać będę i na początek zaliczyłem mu dosyć znaczną sumę. Zgodził się bez wahania. Ponieważ

skóry nasze, skutkiem staranniejszej hodowli bydła ulepszyły się, jak to już zresztą nadmieniałem, przyszło mi więc na myśl, że niezadługo będziemy je mogli na własny użytek obracać, wyrabiając z nich obuwie po cenach umiarkowanych. Wypadek nastęrczył mi nadzwyczaj zdatnego i pracowitego człowieka, który mi miał posłużyć za narzędzie do zaszczepienia w miasteczku jednej z najobfitszych i najstalszych gałęzi handlu. Na szczęście nie omyliłem się w moich rachubach. Dzisiaj mamy już pięć garbarni, które zużytkowują wszystkie skóry z całego departamentu, a nawet często się po nie do Prowancyi udają. I cóż pan powiesz! garbarnie te nie mogą nastarczyć skór Tyrolczykowi, w którego warsztacie pracuje przeszło 40 robotników..... Co się tyczy drugiego, którego historia, acz nie mniej ciekawa, może-by pana znużyła, jest-to prosty chłop, trudniący się wyrobem kapeluszy z szerokimi rondami, jakie tu powszechnie noszą. Doszedł on do tego, że sprzedaje je taniej niż inni i handluje niemi nie tylko w okolicy, ale i w sąsiednich departamentach, a nawet w Sabaudyi i Szwajcaryi. Dwa te rękodzieła, mogące się stać niewyczerpanymi źródłami dobrobytu dla kantonu, gdyby się tylko w dobroci gatunków i nizkości cen utrzymały, nasunęły mi myśl utworzenia tu trzech jarmarków do roku. Prefekt, zdziwiony szybkim rozwojem naszego przemysłu, poparł mnie w staraniach o uzyskanie na to koncesyi. Jakoż w zeszłym roku odbyły się w miasteczku trzy jarmarki i znane są już w Sabaudyi pod nazwą jarmarków obuwia i kapeluszy. Na wieść o tych przeobrażeniach, pomocnik jednego z notaryuszów z Grenobli, młodzieniec ubogi lecz wykształcony i pracowity, zaręczony przytém z panną Gravier, udał się do Paryża, by prosić o miejsce notaryusza w naszym miasteczku, które téż i uzyskał. Nic go ten urząd nie kosztował; teraz wystawił sobie dom naprzeciwko domu sędziego pokoju. Co tydzień jest targ w miasteczku, na którym się dość znaczne interesa na bydle i zbożu robią. W przyszłym roku będziemy mieli zapewne aptekarza, potem zegarmistrza, skład mebli i księgarnię i dojdziemy może do tego, że nasza skromna miejscina będzie w stanie dostarczyć wszystkiego, co ludziom rozwiniętym moralnie i fizycznie jest koniecznie do życia potrzebném. Cywilizacya tyle już tutaj zrobiła, że nie spotkałem najmniejszego oporu ze strony rady municypalnej, gdym podał projekt naprawy i upiększenia kościoła, zbudowania plebanii, obsadzenia drzewami rynku i budowania domow pod linię, by mieć z czasem porządne i proste ulice. Takim-to sposobem stało się, że zamiast stu trzydziestu siedmiu dymów gmina ma ich teraz tysiąc dziewięćset, zamiast ośmiuset nędznych sztuk bydła rogatego – trzy tysiące pięknych okazów i wreszcie zamiast siedmiuset dusz – dwa tysiące mieszkańców w miasteczku, a tysiąc w dolinie. Z tych, dwanaście rodzin można śmiało bogatemi nazwać, sto innych do zamożnych się liczy, reszta się dorabia i pracuje. Wszyscy umieją czytać i pisać, a nawet różne gazety mają tu siedemnastu prenumeratorów. Nie ulega wątpliwości, że spotkasz się pan i z nieszczęśliwemi w naszym kantonie; ja ich, niestety, aż za wielu widzę, ale nikt tu nie żebrze; dla każdego znajdzie się praca. Na jednym koniu niepodobna mi wszystkich chorych objechać, muszę mieć drugiego pod siodłem na zmianę i mogę bezpiecznie o każdej porze chodzić po okolicy, nikt już do mnie nie strzeli, a kto-by miał ten zamiar, sam-by przy życiu nie został. Skąpe w objawach, ale rzetelne przywiązanie mieszkańców jest-to jedyny osobisty zysk, jaki dla mnie z tych zmian wypłynął i poprzestaję na nim chętnie, mając jeszcze i to zadowolenie, że każdy, kto mnie spotka, wita mnie wesoło i przyjaźnie. Pojmujesz pan, że majątek, jaki mimowolnie z moich wzorowych ferm zebrałem, jest dla mnie nie celem, ale środkiem.

– A! gdyby pana wszyscy naśladować chcieli, Francya byłaby wielką i mogłaby sobie drwić z całej Europy – zawołał Genestas z uniesieniem.

– Ale ja tu pana więcej jak półgodziny trzymam – zauważył Benassis – noc już prawie; chodźmy, proszę, do stołu.

Dom lekarza miał od strony ogrodu po pięć okien na dole i na piętrze i dach gontowy o kilku wystających dymnikach. Zielono malowane okiennice odbijały od szarawego tła murów, po których od jednego końca do drugiego piał się poprzecznie winograd, jak szmaragdowa opaska pomiędzy dolnym a górnym rzędem okien. U samych stóp domu kilka krzaków róż bengalskich rosło smutnie, stojąc do połowy w wodzie spływającej z dachu, przy którym rynny nie było. Wewnątrz domu po prawej ręce od wejścia były drzwi do salonu o czterech oknach: z tych dwa wychodziły na ogród,

a dwa na podwórze. Salon ten, wynik wielu oszczędności i wielu nadziei nieboszczyka proboszcza, miał podłogę z desek, a ściany w dole drzewem wyłożone, wyżej zaś przystrojone obiciem z zeszłego stulecia. Duże fotele miękko wysłane, a pokryte wzorzystą materyą; stare, złożone świeczniki na kominku stojące i firanki z sutemi kutasami świadczyły o zamożności dawnego właściciela. Benassis uzupełnił to charakterystyczne dosyć umeblowanie dwoma konsolami z rzeźbionego drzewa, które pomiędzy oknami naprzeciwko siebie stały, i starym szylkretowym, z mosiężnymi inkrustacjami, zegarem, przyozdabiającym kominek. Lekarz nasz rzadko kiedy wchodził do tego pokoju, to też powietrze było w nim duszne i wilgotne, co jest właściwością miejsc mało uczęszczanych i zamkniętych; czuć tam było jeszcze nieboszczyka proboszcza, a zapach jego tabaki zalatywał jeszcze z kącika przy kominku, gdzie zwykł był zawsze siadywać. Dwa wielkie poręczowe krzesła stały symetrycznie po obu stronach ogniska, na którym się od pobytu pana Graviera nie paliło, ale na którym w tej chwili płonęły jasnym płomieniem duże sosnowe polana.

– Zimno jest jeszcze wieczorami – rzekł – i z przyjemnością widzi się ogień.

Genestas zamyślony zaczął teraz dopięro tłumaczyć sobie obojętność lekarza na drobnostki życia codziennego.

– Masz pan duszę prawdziwie obywatelską – wymówił – i dziwię się, dlaczego dokonawszy tyle nie spróbowałeś pan nad oświeceniem rządu popracować?

Benassis zaczął się śmiać, ale zcicha i smutnie.

– To jest, czemu nie napisałem rozprawy o środkach ucywilizowania Francji? nieprawdaż? Pan Gravier już mi to przed panem powiedział. Niestety! nie tak-to łatwo rząd oświecić, a najtrudniej przychodzi to z tym właśnie, któremu się zdaje, że sam światło szerzy. Zapewne, że cośmy zrobili dla naszego kantonu, to każdy mer powinien zrobić dla swego, magistrat dla miasta, podprefekt dla okręgu, prefekt dla departamentu, minister dla Francji, każdy w zakresie swojej działalności. Ja na przykład zbudowałem drogę na mil parę, drugi poprowadziłby ją dalej, inny wykopałby kanał; ja poparłem fabrykę kapeluszy wieśniaczych, minister wyzwoliłby Francję z pod jarzma zagranicznego przemysłu, otwierając nowe rękodzielnicze zakłady, pomagając do udoskonalenia naszego żelaza, stali, narzędzi rolniczych, jedwabnictwa, farbiarstwa i t. p. Zachęcać handel to zupełnie rzecz inna niż protegować go. Dobrze zrozumiana polityka kraju powinna dążyć do wyswobodzenia go od wszelkiego zagranicznego haraczu, ale nie przez upokarzające środki cła i blokady. Przemysł tylko sam przez się zbawionym być może; jedynym życiem jego jest konkurencja. Protegowanie usypia go jak narkotyk, monolog i taryfa są dlań zabójcze. Ten tylko kraj odniesie zwycięstwo nad innymi, który u siebie swobodę handlu ogłosi, którego potęga przemysłowa będzie tak wielką, że mu pozwoli sprzedawać wyroby swoje po cenach niższych niż gdzieindziej. Francja z większą od Anglii łatwością dojść może do tego, gdyż ona jedna posiada terytorium dość rozległe na to, by produkta rolnicze utrzymać w cenach, które-by wpłynęły na niżenie innych; i do tego to rząd Francji dążyć powinien, bo to jest paląca kwestya wieku. Widzisz pan, studia w tym kierunku nie były nigdy celem mego życia, a zadanie, jakie sobie później do spełnienia wytknąłem, było czysto dziełem przypadku. Potem, rzeczy te są zbyt proste, by je można naukowo traktować, zamało szumne, zamało teoretyczne, a tylko, na nieszczęście dla siebie, pożyteczne i nic więcej. Zresztą, żółwia-to i mozolna praca! Kto chce jakikolwiek postęp w tych rzeczach utrzymać, powinien znaleźć w sobie codziennie jednakową dozę odwagi, najrzadszej, choć się na pozór najłatwiejszą wydaje, odwagi bardzo mało cenionej i wynagradzanej; jednym słowem odwagi nauczyciela powtarzającego bezustannie jedno i toż samo. Z uszanowaniem schylamy się przed człowiekiem, który, tak jak pan, krew na polu walki rozlewał, ale lekceważymy sobie tego, który zużywa powoli swe siły żywotne, zapalając wciąż też same iskierki w dziecinnych główkach. Dobrze czynić w ukryciu, bez rozgłosu, to dla nikogo pociągającym nie jest. Brak nam całkowicie téj obywatelskiej cnoty wielkich ludzi starożytności, którzy dla przysłużenia się ojczyźnie stawali chętnie w ostatnim rządzie, skoro w pierwszym być nie mogli. Chorobą naszego wieku jest pragnienie wzięcia góry nad innymi. Więcej mamy świętych niż modlących się do nich, a dlaczego? Bo z monarchią straciliśmy **honor**, z wiarą ojców naszych –

cnoty chrześcijańskie, z nieszczęśliwymi próbami zmiany rządu – **patryotyzm**. Zasady te istnieją jeszcze wprawdzie, bo takie nasiona nie giną nigdy, ale ożywiają one jednostki, a nie masy. Obecnie, jedyną dźwignią społeczeństwa jest egoizm, wszyscy weń wierzą, po-za nim nie masz nic. Jeżeli znajdzie się jaki wielki mąż, który nas uratuje od rozbicia, do jakiego dążymy, ten niecierpliwie posłuży się indywidualizmem jako najpotężniejszym środkiem odrodzenia, ale czekając na to, żyjemy teraz w wieku materyalistycznym i pozytywnym. Wszyscyśmy otaksowani, nie podług tego, ileśmy warci, ale ile ważymy. Energiczny, ale lichy odziany człowiek ledwo przelotne spojrzenie uzyskać może. Minister posyła nędzny jakiś medal marynarzowi, który z narażeniem własnego życia ocalił kilkunastu ludzi, a darzy honorowym krzyżem deputowanego, który mu głos swój sprzedaje. Biada krajowi tak ukonstytuowanemu! Narody zarówno jak jednostki tylko w silnych, głębokich uczuciach czerpać mogą energią. Uczuciem narodów są ich przekonania. A my zamiast przekonań i wiary, mamy własne interesa na celu. Skoro każdy o sobie tylko myśli i sobie tylko wierzy, to gdzie jakim sposobem chcesz pan znaleźć w pośród takich ludzi dużo odwagi cywilnej, odwagi, której pierwszym warunkiem jest zaparcie się siebie. Odwaga cywilna i odwaga wojenna z tegoż samego źródła pochodzą. Wyście powołani do poświęcenia życia od razu, my nasze po kropelce oddajemy. Z obu stron też same walki tylko pod innymi postaciami. Do ucywilizowania choćby najlichszego zakątka ziemi nie dosyć jest być człowiekiem dobrej woli, potrzeba być wykształconym; a wykształcenie, uczciwość, patryotyzm niczym są jeszcze bez żelaznej, niezachwianej wytrwałości, z jaką człowiek winien wszystkie osobiste widoki na ołtarzu ogólnego dobra poświęcać. Bez wątpienia, że Francja posiada nie jedną rozumną głowę, nie jedno patryotyczne serce; ale jestem przekonany, że nie w każdym kantonie znajdzie się choć jeden człowiek taki, który-by do tych cennych przymiotów łączył silną wolę i stałość kowala kującego żelazo. Człowiek, który burzy, i człowiek, który buduje, to dwa zjawiska działalności: jeden przygotowuje, drugi kończy dzieło; pierwszy zjawia się jako gieniusz złego, drugi jako gieniusz dobrego; tamtemu sława, temu zapomnienie. Pierwszego głos donośny, który budzi pospolite dusze i uwielbieniem je napełnia, podczas gdy dobro długo w milczeniu działa. Próżność ludzka wybiera zwykle świetniejszą rolę. Dlatego też czyn, dokonany bez żadnej wstecznej, osobistej myśli, będzie zawsze dziełem przypadku, dopóki wychowanie nie zmieni obyczajów Francji. A gdy się te obyczaje zmieniają, gdy wszyscy na wielkich obywateli kraju wyjdziemy, nie staniemyż się, pomimo wygod i uciech codziennego życia, najnudniejszym, najbardziej znudzonym, najmniej artystycznym, najniezwyklejszym narodem pod słońcem? Ale nie mnie te ważne pytania rozstrzygać; nie jestem na czele kraju. A po-za temi względami inne jeszcze trudności sprzeciwiają się istnieniu stałych zasad w administracji. Cywilizacja, panie kochany, nie zna nic bezwzględного. To, co jest zbawieniem dla jednej okolicy, może być zabójczym dla drugiej; z umysłem dzieje się tak jak z rolą, a jeżeli mamy tylu złych administratorów to dlatego, że administracja tak jak smak wypływa z uczucia bardzo szczytnego, bardzo czystego. Nikt nie jest w stanie ocenić czynów, ani myśli administratora; prawdziwi jego sędziowie daleko, skutki jego działalności jeszcze dalej. To też każdy bez obawy urząd ten przyjąć może i przyjmuje. We Francji, rodzaj tego uroku, jaki rozum wywiera, napełnia nas uszanowaniem dla ludzi samodzielnie myślących, ale wszelkie idee są niczym tam, gdzie woli silnej potrzeba. Wreszcie, administracja nie polega na tym, by narzucać masom myśli lub metody mniej lub więcej słuszne, lecz ma na celu nadanie złym lub dobrym skłonnościom tych-że mas takiego kierunku, który-by był dla dobra społecznego korzystnym. Jeżeli przesady lub zwyczaje jakiegokolwiek okolicy prowadzą złą drogą, mieszkańcy sami z siebie błędy swoje porzucają. Każdy błąd w ekonomii wiejskiej, politycznej lub domowej spowodowywa straty, do naprawy i usunięcia których własny interes najsilniejszym jest bodźcem. Tutaj na szczęście zupełną *tabula rasa* znalazłem. Ziemia była dobra, z łatwością przyszło mi ją użyźnić; rolnictwo, jako tu dawniej wcale nie istniejące, nie mogło mieć tym samym żadnej tradycji; nie potrzebowałem więc walczyć z żadnymi uprzedzeniami i bez oporu zaprowadziłem płodozmian, sztuczne łąki i uprawę kartofli. W interesie kołodzieja było zachwalać moje pługi, by je tym łatwiej mógł sprzedawać, miałem więc w nim sprzymierzeńca. Tak w tym jak i we wszystkim dążyłem do tego, by powiązać

interesa jednostek z interesami ogółu. Następnie, od produkcji bezpośrednio dla moich biedaków potrzebnej, przeszedłem do innych, które-by na wzrost ich dobrobytu wpływały. Nie sprowadzałem nic z zewnątrz; przeciwnie wspierałem nawet przemysł wywozowy, mogący ich wzbogacić, a którego korzyści wprędce ocenić się dały. Ludzie ci przez czyny swoje byli memi apostołami, nie domyślając się tego. Teraz, jeszcze względ jeden. Jesteśmy zaledwie o pięć mil od Grenobli, a blizkie sąsiedztwo miast wielkich tysiące dróg dla produkcji otwiera. Nie wszystkie gminy mogą się tak szczęśliwem położeniem pochlubić. W każdym przedsięwzięciu tego rodzaju trzeba wziąć pod uwagę charakter miejscowości, jój położenie, środki, któremi rozporządzać może, trzeba zbadać grunt ludzi i rzeczy, a nie chcieć winogrodu sadzić w Normandyi. Tak tedy, nie masz nic bardziej zmiennego jak administracya; zasady ogólne nie istnieją dla niej prawie. Prawo jest stałe; ale inaczej rzecz się ma z ziemią, obyczajami i pojęciami; administracya zatem polega na zastosowywaniu praw bez pogwałcenia interesów danego kraju; wszystko więc w niej miejscowe. Z drugiej strony góry, u stóp której leży opustoszała wioska, nie podobna posługiwać się w uprawie roli – kołowami pługami; grunt tam nie dość głęboki; gdyby mer tój gminy chciał nas naśladować, zrujnowałby ze szczętem swoich podwładnych; poradziłem mu zaprowadzenie winnic, jakoż w przeszłym roku mieli znakomite zbiory i teraz prowadzą z nami handel zamienny wina na zboże. Co mi także wiele pomagało do oddziaływania na tych ludzi, to ciągle z nimi stosunki. Leczyłem moich wieśniaków z ich chorób, tak łatwych do wyleczenia, bo w istocie cała kuracya na tém polega, by im posilnemi pokarmami siły przywrócić. Już przez oszczędność, już z niedostatku, wieśniacy tak się źle żywią, że z tego chorują; wogóle zaś zdrowi są dosyć. Obrawszy sobie za cel to życie cichego poświęcenia, wahałem się długo, czy mam zostać proboszczem, lekarzem wiejskim, lub sędzią pokoju. Nie bez przyczynity, panie kochany, łączy się przysłowiowo te trzy czarne szaty: księdza, prawnika i lekarza. Jeden opatruje rany duszy, drugi rany kieszeni, trzeci rany ciała. Przedstawiają oni trzy najważniejsze podstawy społeczeństwa: sumienie, majątek i zdrowie. Niegdyś pierwszy, następnie drugi stał na czele rządów. Nasi praojce mniemali, i słusznie poniekąd, że ksiądz, ten władca dusz, powinien być i w innych względach zwierzchnikiem; to też był on królem, kapłanem i sędzią; ale wtedy wszystko się działo przez wiarę i sumienie. Dziś zmienił się stan rzeczy; bierzmy go więc, jakim jest. Co do mnie sędzę, że postęp cywilizacyi i dobrobyt społeczeństwa od tych trzech ludzi zależy; oni bezpośrednio dają uczuć narodom wpływy faktów, interesów i zasad, tych trzech wielkich skutków trzech równie wielkich przyczyn: wypadków, własności i idei. Czas idzie wciąż naprzód, prowadząc za sobą zmiany; własności zmieniają się, lub powiększają; do tych mutacyj wszystko stosować należy; tém się warunkuje porządek społeczny. By się kraj jakiś ucywilizował, przemysł rozwiłmożnił, produkcyja ożywiła, potrzeba, aby masy zrozumiały, w czém ich interes osobisty zgadza się z interesami narodowemi. Te więc trzy powołania, tak bezpośrednio najważniejszych czynników życia ludzkiego dotyczące, wydają mi się też i najpotężniejszymi dźwigniami cywilizacyi; oni tylko mogą dostarczyć człowiekowi dobrej woli skutecznych sposobów do polepszenia losu klas niższych, z któremi w ciągłym są zetknięciu. Ale wieśniak chętniej słucha tego, kto mu przepisuje receptę na uzdrowienie ciała, niż księdza, który z nim o zbawieniu duszy rozprawia; tamten może mu mówić o jego karmicielce ziemi, tego obowiązkiem jest przypominać mu ciągle niebo, o które na nieszczęście niewiele on się troszczy; na nieszczęście, mówię, bo wiara w życie przyszłe jest nie tylko pociechą, ale i środkiem oddziaływania na tłumy. Religia – to jedyna moc, która prawa społeczne uświęcić i potwierdzić może. Na miejsce religii rząd zmuszony był postawić terroryzm, by prawa swoje wykonalnemi uczynić, ale była to bojaźń ludzka i przeszła jak wszystko, co ludzkie. Widzisz pan, gdy chłop jest chory, przykuty do swego tapczana, wtedy musi słuchać, gdy mu się coś chce przełożyć, a jeżeli przełożenia są jasne, to je i zrozumieć potrafi. Ten ostatni względ zrobił mnie lekarzem. W postępowaniu z mojami wieśniakami byłem bardzo obrachowany i konsekwentny; dawałem im tylko takie rady, których skutków byłem pewny, które skłoniłyby ich do uznania słuszności moich poglądów. Z ludem potrzeba być zawsze nieomylnym. Nieomylność stworzyła Napoleona; byłaby z niego zrobiła bożka, gdyby świat jego upadku pod Waterloo nie widział. Jeżeli Mahomet zdołał

utworzyć religią i zdobyć trzecią część ziemi, to dlatego, że oko ludzkie na śmierć jego nie patrzyło. Jedne i te same zasady są dla zdobywcy jak i dla mera wiejskiego; naród i gmina nie różnią się między sobą. Masy wszędzie jednakie. Wreszcie, w stosunkach z memi podwładnymi byłem zawsze bardzo ścisły i nieugięty. Gdyby nie to, wszyscy drwiliby sobie ze mnie. Chłopi, tak samo jak ludzie światowi, lekceważą sobie tego, kogo mogą oszukać. Dać się wywieść w pole – to dowód słabości; siłą tylko rządzić można. Nigdy za moje lekarskie starania grosza od chorych nie biorę, chyba że są widocznie bogaci; ale pomimo to, dbam o to, by umieli ocenić to, co dla nich robię. Lekarstw darmo nie daję; wyjątek pod tym względem tylko najbiedniejsi stanowią. Tak tedy, moi wieśniacy nie płacą mi, ale wiedzą, że mają względem mnie jakieś zobowiązania, i starają się wywiązać z nich przynosząc mi czasem owsa dla koni lub zboża, gdy jest tanie. Ale gdyby mi młynarz tylko węgorze za moje trudy ofiarował, powiedziałbym mu, że i tego zawiele; a grzeczność ta nie jest bezowocna; w tym roku będę mieć od niego kilka worków mąki dla biednych. Tak, mój drogi panie, ludzie ci mają serce, gdy go się w nich nie zagłuszy. Dziś więc myślę o dobrém, a mniej o złém jak dawniej.

– Ale ileż pracy i trudu wszystko to pana kosztować musiało! – rzekł Genestas.

– Mnie? bynajmniej – odparł Benassis. – Taż sama ilość czasu zużywa się na powiedzenie czegoś pożytecznego, co i głupstwa. Gawędząc, śmiejąc się, chodząc, rzucałem wpośród nich iskry światła. Z początku słuchać mnie nie chcieli; usuwali się ode mnie ze wstrętem. Byłem z miasta, a dla wieśniaka mieszczanin a nieprzyjaciół – to jedno. Walka ta bawiła mnie. Między czynieniem dobrze, a czynieniem źle jest tylko jedna różnica – czyste i brudne sumienie, trudy zaś jednakowe. Gdyby zbrodniarz chciał żyć uczciwie, zamiast stryczka dorobiłby się majątku.

– Proszę pana – zawołała wchodząc Jacenta – obiad stygnie!

– Chwilkę jeszcze – rzekł Genestas, kładąc rękę na ramieniu lekarza. – Chciałbym panu tylko jedną zrobić uwagę. Nie czytałem nic o wojnach Mahometa, nie mogę więc sądzić jego militarycznych zdolności; ale gdybyś pan był widział cesarza, dowodzącego podczas kampanii francuskiej, byłbyś go wziął za bożka z pewnością. Jeżeli upadł pod Waterloo, to dlatego, że był więcej jak człowiekiem, zanadto ciężył ziemi i ta się pod nim ugięła. Ot, co jest! Zresztą, we wszystkiém zdanie pańskie najzupełniej podzielam i do stu kartaczów! ta, co pana urodziła, nie zmarnowała czasu.

– No, no – zawołał uśmiechając się Benassis. – Chodźmy do stołu.

Jadalny pokój był całkowicie drzewem wyłożony i pomalowany naszaro. Umieblowanie składało się z kilku krzesel wyplatanych, kredensu, szaf i słynnego zegara nieboszczyka proboszcza. U okien białe wisiały firanki. Stół nakryty był czysto, świeżo, ale bez żadnego zbytku, naczynia na nim fajansowe. Na zupę dano rosół, najposilniejszy, najbardziej esencyonalny jaki **kiedykolwiek, jakakolwiek** zgotowała kucharka. Zaledwie lekarz i Genestas jeść go zaczęli, gdy jakiś człowiek wszedł hałaśliwie do kuchni i mimo oporu Jacenty do jadalnego pokoju wtargnął.

– No, i cóż tam takiego? – zapytał Benassis.

– A to proszę pana, nasza jójmość pani Vigneau tak zbladła, ale to przecież tak zbladła, żeśmy się wszyscy poprzelękali.

– Ha! – zawołał wesoło Benassis – trzeba tam iść.

I wstał od obiadu. Pomimo jego nalegań, Genestas rzucił serwetę i, zakławszy po wojskowemu, oświadczył, że bez gospodarza swego obiadu jeść nie będzie; jakoż wrócił do salonu i tam grzejąc się przy ogniu rozmyślał nad przykrościami, od jakich żaden stan na tym świecie, żadne powołanie wolném nie jest. Benassis wrócił wkrótce i obaj napowrót do stołu zasiedli.

– Taboureau był tutaj i chciał się z panem widzieć – rzekła Jacenta przynosząc gorące półmiski.

– Któż tam jest chory u niego? – zapytał lekarz.

– Nikt, proszę pana; mówił, że chce się pana o coś poradzić i wróci niezadługo.

– To dobrze – odparł Benassis, a zwracając się do Genestasa, dodał: – Ten Taboureau to w moich oczach cały traktat filozoficzny, przypatrz mu się, patrz uważnie, gdy tu będzie, to cię zabawi. Kiedyś, było sobie uczciwy najemnik, oszczędny i pracowity. Ale jak tylko się trochę grosza dorobił, zaraz mu się w umyśle rozwidniło; ruch przemysłowy, jaki rozbudzałem w kantonie, ogarnął

i jego, chciał się, korzystając zeń, wzbogacić. W ciągu ośmiu lat zebrał już duży majątek, to jest duży, jak na tę okolicę. Może mieć teraz około czterdziestu tysięcy franków. Ale, mógłbyś pan tysiąc razy zgadywać! a jeszczebyś się nie domyślił, jakim sposobem doszedł do takiej fortunki. Taboureau jest lichwiarzem, ale to lichwiarzem do szpiku kości, a lichwa jego tak dobrze jest obmyślona i na interesach tutejszych mieszkańców oparta, że traciłbym tylko czas, gdybym chciał ich wywodzić z błędu i przekonywać, że zamiast korzystać tracą na stosunku z Taboureau'm. Wyobraź pan sobie, jak tylko zaczęto się krzątać około uprawy roli, ten nicpoń wpadł na pomysł skupowania w okolicy ziarna potrzebnego dla tych biedaków do siewu. Tu, jak wszędzie, chłopci, a nawet niektórzy fermerzy nie mieli pieniędzy na kupowanie nasienia. Więc, imci pan Taboureau pożyczał jednym worek jęczmienia, za co mu po żniwach worek żyta oddawali, innym dawał korzec zboża za worek mąki. Dziś prowadzi ten szczególniejszy handel z całym departamentem. Jeżeli go nic w drodze nie zatrzyma, dojdzie z pewnością do miliona. Ale cóż! Taboureau jako wyrobnik był poczciwy, usłużny, chętny do rady i pomocy; w miarę rosnących zysków stał się chciwy, pogardliwy i drwiący ze wszystkiego i wszystkich. Im jest bogatszy, tym się bardziej psuje. Gdy tylko chłop przechodzi z użycia pracowitego do łatwej egzystencji i większej ziemskiej posiadłości, staje się nieznośnym. Istnieje pewna klasa ludzi, na pół cnotliwych, na pół występnych, w pół oświeconych, w pół ciemnych, która zawsze będzie plagą wszystkich rządów. Poznasz pan mniej więcej ducha tej klasy w Taboureau'cie, człowieku prostym na pozór, ograniczonym nawet, ale który, jak tylko o jego interes chodzi, staje się głębokim i przebiegłym.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.